Nr. 4. Warszawa, dnia 23 (11) Stycznia 1892 r. **Rok XII.**

PRAWDA

FILOZOFIJA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Autorowie rękopisów nieprzyjętych przez naszą redakcyę a zachowanych do zwrotu, zechcą je odebrać w ciągu dwu miesięcy, gdyż po tym terminie będą zniszczone.

POLITYKA.

REFORMA SZKOLNA W PRUSACH.

O ile na początku swego panowania Wilhelm II zapewniał, że "kurs" jego polityki pozostanie niezmieniony, o tyle teraz gorączkowo stara się nadać mu inny kierunek. Jest to skutek dojrzewania myśli, czy też rezultat głuchej walki z twórcą „dawnego kursu“ — trudno orzec, dość, że gmach Bismarkowski szybko jest przebudowywany. Do wielu zmian przybywa nowa i bardzo głęboko sięgająca — reforma szkolnictwa w Prusach. Przedewszystkiem zauważyć winniśmy, że ta dziedzina życia społecznego nie jest unormowana żadnemi prawami w statucie organicznym państwa, lecz pozostawiona wolnej woli ministra oświaty, który, zależnie od swoich widoków i przekonań, może wprowadzać taki lub inny system. Obecnie rząd pruski chce szkole dać oparcie stałe i w tym celu wniósł do sejmu projekt. Z tego obszernego opracowania wyjmiemy jedynie parę punktów najważniejszych, które charakteryzują „nowy kurs“ i stały się głównym powodem krzyków ze strony liberalnej. I tak: o ile gdzieś nie istnieje już inna ustawa, nowe szkoły mogą być zakładane tylko na podstawie wyznaniowej. Dzieci, należące do gminy religijnej, nieuznanej przez państwo, muszą uczestniczyć w wykładach religii szkolnej. Nauczycielami szkół wyznaniowych mogą być jedynie osoby tej samej religii. To są artykuły zasadnicze. Na tej reformie wygrają przedewszystkiem katolicy, którzy też oddawna domagali się zniesienia szkół mieszanych i zaprowadzenia wyznaniowych. Według głosu powszechnego rząd pruski zdecydował się na to ustępstwo, ażeby uzyskać poparcie stronnictwa centrum w innych ważnych sprawach, których by bez jego pomocy nie przeprowadził. Jeżeli przypuścimy, że ma on w swej polityce wewnętrznej jakiś plan stały, że jej nie improwizuje z dnia na dzień i nie wytwarza bezładnymi odruchami — za czem przemawia wiele pozorów— w takim razie należałoby wnosić, że przedmiot układu, okupiony taką ofiarą, musi posiadać dla niego szczególną ważność. Centrum, działające pod godłem Windthorsta: „do ut des“ — dam, gdy dasz — jest partyą nawskróś handlową, gotową zawsze do tranzakcyj wymiennych, do głosowania za każdym projektem rządu, opłaconym odpowiedniemi dla niego korzyściami. Skoro więc dostaje pod swój wpływ szkołę, musiało coś w zamian przyrzec — ale co? W tem pytaniu tkwi zagadka, trudno zaś mniemać, że rząd protestancki poczuł nagle miłość do katolicyzmu.

Dotychczas jednak jest to — jak mówi przysłowie niemieckie — rachunek bez gospodarza. Tych gospodarzów w sejmie pruskim, oprócz centrum, zasiada kilku: konserwatyści, narodowo-liberalni i postępowcy. Pierwsza grupa, chociaż obecnie zadąsana na rząd i radaby projekt przerobić w swoim duchu, nie jest mu przeciwna w zasadzie; druga, niegdyś walcząca pod sztandarem Falka, krzyczy w niebogłosy, trzecia naturalnie zbroi się do zaciętej walki. Uwzględniwszy stosunki liczebne stronnictw, przewidywać można, że konserwatyści połączeni z katolikami (centrum) stworzą dla nowej ustawy szkolnej potrzebną większość, czyli że ona przejdzie.

Minister oświaty, dla uciszenia wrzawy, nie czekał właściwych obrad, lecz zabrał głos wcześniej. Naprzód usiłował ową ustawę wyprowadzić z konstytucyi pruskiej, a następnie uspokoić krzyki zapewnieniem, że mimo tego ustępstwa na rzecz wyznań państwo nie zrzeka się swego zwierzchniego nadzoru nad szkołą. Tak jest, lecz to bynajmniej nie osłabia doniosłości zmiany i nie usuwa faktu, że szkoła elementarna została oddana klerowi.

Ale gdyby nawet stronnictwa, które w sejmie przeciw temu projektowi oświadczą się, miały siłę obalić go, reforma byłaby przeprowadzona. Jak zaznaczyliśmy na wstępie, statut organiczny królestwa pruskiego nie ujął oświaty w żadne prawa i pozostawił je ministrowi, który też, gdyby wniesiona do parlamentu ustawa nie przeszła, może ją wprowadzić niemal całkowicie mocą własnych rozporządzeń. Na obecną więc chwilę Prusy nie unikną tej reformy, a opozycyjni przedstawiciele narodu mają do wyboru tylko między złem większem a mniejszem.

Nowy ten krok rządu pruskiego potęguje jeszcze bardziej zamęt w polityce wewnętrznej, który trwa od wstąpienia na tron Wilhelma II. Niepodobna bowiem powiedzieć, jaka jest właściwie ta polityka, gdyż jedne jej objawy — jak mówią niemcy — nie rymują się z drugimi. Raz ona jest demokratyczna, to znowu arystokratyczna, liberalna, konserwatywna, klerykalna, jak gdyby snuła się z pomysłów doraźnych, niezwiązanych żadną wspólną nicią. To zszywanie różnych systemów, to przeskakiwanie z jednej strony na drugą budzi w narodzie niechęć a nawet obawy. Wiadomo, że u steru władzy państwowej nie chłodnie gorączka czynu, że istnieje tam ciągle pragnienie płynięcia nowym szlakiem, ale stałej, ściśle oznaczonej drogi dotąd nie wynaleziono. Czy dziwny jest lęk, ażeby ta nawa nie wpadła na skały i nie roztrzaskała się?

DEMOKRACYA SZWAJCARSKA
I MONOPOLE PAŃSTWOWE.

Gdyby między ustrojem politycznym a innemi stronami życia społecznego nie istniała taka współrzędność konieczna, jak np. między białem uwłosieniem a zielone-

mi oczami kota, to proces przeciw demokracyi mógłby być bardzo łatwo przeprowadzony. Istotnie, rząd tłumu, wbrew wszystkim zachwytom, jest dla jednostki najgorszym rodzajem rządu. Łamie on z taką samą obojętnością, jak burza łamie drzewo. Tłum posiada nietylko nieograniczone prawo mylenia się, ale także najwyuzdańszych okrucieństw — za które nie dosięga go nawet pogarda. Bo tłum jest bezimienny, a zatem nieodpowiedzialny: kpi sobie z kar i nawet nie zna zgryzot sumienia. Mamy tu do czynienia z psychologią masową, a nie z jednostkową. Znajdujemy się wobec potworu.

Gdyby więc Szwajcarya była przynajmniej krajem przemysłowo rozwiniętym, o licznej klasie najemniczej, wówczas *referendum* miałoby dobre strony, w tem znaczeniu, iż wyrażałoby dążności epoki. Ale proszę sobie przedstawić, iż kilka milionów chłopów, których widnokręgi ograniczone są obrębami płotów, zaczyna wyrażać światłe swe zdania o sprawach społecznych: wówczas najważniejsze reformy, wysunięte przez cały rozwój życia, pójdą w kąt, gdy grożą w jakikolwiek sposób zaściankowym interesom oddzielnych kantonów; jeżeli zaś jaka przejdzie, to ma charakter niespodzianki, wywołującej osłupienie własnych jej twórców. Taki widok przedstawia nam często Szwajcarya, zwłaszcza gdy idzie o monopole państwowe. Cały rozwój gospodarczy naszych czasów dąży doześrodkowania wszystkich gałęzi produkcyi w rękach jednostek, albo też nielicznych grup przedsiębiorców. Jest to konieczność wywołana rozwojem maszyneryi, centralizacyą kapitałów, wobec których wszystkie drobniejsze siły muszą ustąpić pobite i rozbrojone. Amerykańskie „ringi“ i „trusty“ są wzorem dla wszystkich gałęzi gospodarstwa. Idzie więc tylko o to, czy monopol taki ma być pozostawiony w ręku oddzielnych osób, czy też przejść pod zarząd państwa. Wszystko przemawia za tem ostatniem wyjściem: i gospodarka „ringów,“ polegająca na nieograniczonem obdzieraniu pracujących z jednej strony, a spożywców z drugiej, i konieczność powstrzymania spekulacyi giełdowej, fatalnie wyrastającej na gruncie karteli i nareszcie konieczność liczenia się z ideałami przyszłości, które oczywiście dążą do monopolów państwowych. Demokracya zostaje systematycznie głuchą na wszystkie te względy i łamie jednostki pracujące w tym kierunku bez miłosierdzia.

Dnia 6 grudnia odbyło się w Szwajcaryi głosowanie powszechne nad wykupem kolei żelaznych na rzecz państwa. Autorem projektu, przeprowadzonego poprzednio w Radzie federalnej i obalonego następnie drogą *referendum*, był minister Welti. W energicznej swej walce wysunął on wszystkie względy, które wogóle przemawiają za monopolem państwowym, a oprócz tego przytoczył jeszcze następujące, specyalnie Szwajcaryi dotyczące powody. Za połowę wieku Francya, na zasadzie traktatów z kompaniami, wejdzie w posiadanie wszystkich swych kolei, bez grosza wydatku, podczas gdy szwajcarskie znajdować się będą w ręku prywatnych stowarzyszeń, co przedstawia olbrzymią niedogodność w walce o byt. Dalej wskazał Welti na znaczne i nieprodukcyjne wydatki, które towarzystwa szwajcarskie zmuszone są robić dla popierania swych akcyj w grze spekulacyjnej. Jedna kolej Centralna wydaje w tym celu 18 milionów rocznie. Kraj ponosi w ten sposób straty zupełnie bezpłodne, gdy państwo mogłoby za te sumy porobić ulgi taryfowe lub zwiększyć ilość pociągów. Istotnie, spekulacya, przybrawszy niesłychane rozmiary, naruszyła całą ekonomię kolejową Szwajcaryi, a mianowicie od czasu, gdy większość akcyj, poprzednio (do r. 1883) rozproszonych po olbrzymiej ilości drobnych właścicieli, skupiła się w ręku niewielkiej garstki osób prywatnych lub instytucyj kredytowych, przeważnie niemieckich. Ruch ten przyśpieszony jeszcze został przez kilka prób ze strony państwa dla zmonopolizowania kolei, co przestraszyło drobnych *rentierów* i pobudziło do sprzedaży akcyj — ale, istotnie, trudno o lepsze lekarstwo. Chłopi jednak szwajcarscy tak są zazdrośni o swą niezależność kantonalną, iż wolą być zrujnowani, niż spotęgować władzę centralną nowem narzędziem wpływu i mocy. Wyniki referendum przewyższyły wszelkie oczekiwania. Przeciw wykupowi wypowiedziała się większość tak znaczna (160 tys.!), iż dla objaśnienia jej trzeba przypuścić, że niektóre kantony (jak Zurich) kierowały się nie tyle obawą państwowego centralizmu, ile uwagą na obecne położenie rynku, przy którem towarzystwa mogłyby stawiać państwu nadzwyczaj wygórowane żądania w razie, gdyby przystąpiono do operacyi wykupnej. Cokolwiekbądź, rezultaty głosowania były potępieniem dotychczasowej polityki, zwłaszcza zaś człowieka, który nią sterował, a zarazem wskazówką, iż zmiana kierunku stała się konieczną. A jakkolwiek prezydent rady narodowej, przedstawiając wyniki referendum, oświadczył, iż jest to partya, którą trzeba będzie wnet na nowo rozpocząć, były to niewątpliwie puste przechwałki, przeznaczone dla zamaskowania porażki i przykrycia odwrotu — co najlepiej widać z dymisyi samego Weltiego, która się wprost narzucała. Niema wprawdzie zwyczaju, aby minister musiał ustąpić, gdy jeden z jego projektów nie zdobywa posłuchu przed powszechnem głosowaniem. Przeciwnie, instytucye szwajcarskie nie dopuszczają przesileń gabinetowych. Ale tu były warunki szczególne. Wykup kolei Centralnej, a w ślad za nią innych, stanowił treść działalności Weltiego, a co najważniejsza, został on sam jeden na wyłomie podczas walki. Żaden z jego kolegów nie brał udziału w rozprawach Izb, a w kwestyi tak ważnej dla skarbu federalnego, naczelnik departamentu finansów pozostał milczący.

Ustąpienie Weltiego, chociaż konieczne, przywitać trzeba z żalem — był to człowiek istotnego talentu i wielkiego doświadczenia—może najzdolniejszy mąż stanu Szwajcaryi. Na jego miejsce wprowadzono do rady federalnej pierwszy raz ultramontanina. Oddawna prawica szwajcarska domagała się udziału we władzy wykonawczej. Dotychczas odmawiano, co wywoływało ze strony ludności katolickiej politykę oporu. Referendum pozwalało jej często wyrażać swe niezadowolenie, a obecne prawo inicyatywy nadało jej nowy oręż w walce. Większość radykalna zrozumiała, iż nie może dłużej trwać w odmowie i przyjęła wybór p. Zempa, wodza prawicy. Wstąpienie jego do rady federalnej oznacza koniec okresu walk, którego punkt kulminacyjny wyraził się w *Sonderbundzie*. Z chwilą, gdy prawica wzięła udział we władzy, zgodziła się zarazem w zasadzie na obecny ustrój.

Nie mniej pouczające wyniki dało referendum w innej sprawie. Wyborcy jednocześnie powołani zostali dla oświadczenia się co do zmiany konstytucyjnej, nadającej związkowi prawo ustanowienia banku z monopolem wypuszczania biletów. Za projektem głosowało 230 tys. przeciw 158 tys. ku powszechnemu zadziwieniu. Gdy badamy powyższe cyfry, uderza nas naprzód następująca okoliczność: słaby udział głosujących. Powstrzymały się 300 tys., a nie można powiedzieć, aby kwestya była pozbawiona interesu i znaczenia. Rzadko prasa i komitety rozwinęły większą działalność, ale wbrew wszystkim staraniom i zabiegom przeciwników projektu niezdecydowanie masy trwało aż do ostatniej chwili. Twierdzą oni nawet, iż radykaliści stojący u rządu wyłudzili przychylne wotum u tłumu. Przyczyna kryje się w tem, iż kwestya nie

3)

KNUT HAMSUN.

HAZARD.

(Dokończenie).

Następnego poranku kelner — plotkarz przychodzi mi opowiedzieć, że jaśnie pani poprzedniego wieczoru przegrała w ruletę pięćdziesiąt cztery tysiące leiów. ¡Pavo, znudzony czekaniem, powrócił do swego namiotu. Lokaj spotkał go u studni, trzymał czapkę w ręce i mówił sam do siebie: Uchodź przed zgubą! — wołał raz po razie; odwróć się od pokusy, od kusiciela! Dasz mu palec, a weźmie całe serce! Czy umysł twój tak jest zbłąkany, że ja, ja, który tak nisko upadłem dzisiaj ostrzegać cię muszę! Pavo istotnie mówił przekonywająco; wprawiał się — według zdania lokaja — w przemowę, z którą nazajutrz przed matką chciał stanąć... Służący — chytrzec umiał wszędzie nos wścibić i o wszystkiem wiedział.

— Więc pan dzisiaj wyjeżdża? — pyta mnie.

— W hotelu nic o tem nie wspomniałem, o rachunek nie prosiłem...

— Nie wiem! — odrzeknie. Na poczcie wydał pan instrukcye co do wysyłki listów... Nadto obstalował pan tragarza na piątą!..

Już i to wywęszył. W tej chwili doznałem uczucia, jakoby ten mądry łotr szpiegował mnie na każdym kroku. Czułem do niego odrazę. Byłem zły i nie znosiłem jego zuchwałego spojrzenia: miał oczy blade, a spojrzenie ich dreszcz mi sprawiało, jak lodowaty powiew.

— Precz! Psie jeden! — zawołałem.

On stoi nieruchomie. Wyobraźcie sobie, bezwstydnik z miejsca się nie rusza. Obie ręce założył na plecach. Co on sobie myśli! I co czyni temi ukrytemi rękami? Czy może mnie knuje jakiś spisek?

— To, co pan powiedział, bardzo mnie boli! — powiada wreszcie. I urywa, lecz wciąż wyzywająco w twarz mi patrzy. Staję za nim, aby zbadać, co też on rękami robi! Nie widzę, żeby w palcach coś trzymał: ręce złożył i tylko gwałtownie niemi za sobą wywija. Staję przed nim, ramiona jego drżą, oczy są pełne łez. Żałuję już, że go skrzyczałem i zamierzam właśnie złe naprawić, gdy w tem on czyni nagły ruch ku mnie, dziwny jakiś przedmiot błyska w jego ręce. Jest to klucz o dwóch zębach. Podnosi go i uderza mnie nim w prawą rękę, w samo zgięcie. Ręka moja opada jak martwa: tępe uderzenie ubezwładnia ją. Zuchwałość ta odbiera mi na razie pewność siebie; jak przykuty stoję na miejscu. On znowu ręce krzyżuje na plecach. Mijam go, zbliżam się do drzwi, otwieram je lewą ręką, zwracam się do niego i zimno mówię:

— Proszę mi przynieść rachunek!

Lokaj idzie ku drzwiom, nisko się kłania i opuszcza pokój. Słyszę jak za drzwiami głośno zaczyna szlochać.

* * *

Nie wyjechałem już tego dnia: ręka zanadto mnie bolała, wogóle byłem bardzo niezdrów. Na zgięciu zostały dwie duże dziury, wgniecione, sine, żyły nabrzmiały mi aż po ramię. To dopiero grubiaństwo lokajskie! Co prawda służący zdawał się żałować swego postępku. Przyniósł mi spirytusu na opatrunek, własnoręcznie ramię mi opatrzył; niktby chyba staranniej uczynić tego nie umiał. Baczył, ażeby w sąsiednich nie było szmeru. Kiedy udałem się na spoczynek. A oto go nie prosiłem. O pierwszej w nocy banda pijanych chłopów zatrzymała się tuż pod mojem oknem: Głośno zawodzili pieśń jakąś: rozpędził wszystkich, wściekły z gniewu; słyszałem, jak czynił im wyrzuty, że budzą chorego pana, któremu rękę strzaskano.

była postawiona szczerze i otwarcie. Z tego punktu widzenia taktyka Izb udała się, ale dwulicuwość, która złożyła się na ich powodzenie, wkrótce zwróci się prawdopodobnie przeciw nim. A mianowicie: wiedziano bardzo dobrze, iż szło o nadanie Związkowi monopolu wypuszczania biletów bankowych, co musi już być uznane przez samych nawet federalistów, wobec plag związanych z bankami kantonalnymi, ale kwestyę najważniejszą, systemu banku mającego być założonym, pozostawiono w cieniu. Czy to będzie bank akcyjny, czy też państwowy—oto pytanie najważniejsze. Rozstrzygnięcie jego będzie należało do osobnego prawa, jeszcze niewypracowanego. Zapewniano wprawdzie publiczność, iż większość Izb jest za bankiem akcyjnym, z drugiej jednak strony szef departamentu finansów oświadczył się za bankiem państwowym — z obawy partyi robotniczej, albo też z chęci przypodobania się jej. Ale demokracya bynajmniej nie chce się liczyć z nią: ona chce banku akcyjnego i obecnie już wszystkie pisma demokratyczne zapewniają, iż ci, co przyjęli monopol, zażądają *referendum*, gdyby prawo było nie zgodne z ich życzeniami. A wprowadzenie banku akcyjnego postawi go w takiem położeniu, w jakiem obecnie znajdują się koleje. Demokracya jest więc w zgodności ze sobą.

Eipon.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Jeżeli nie najgłówniejszym, to najwidoczniejszym czynnikiem politycznym jest obecnie influenza. Prawie wszyscy monarchowie i mężowie stanu jej ulegli, a wielu zmarło. Najbardziej jednak dotknęła ona dwór austryacki. Niedawno zabrała mu dwu arcyksiążąt w ciągu paru tygodni, obecnie — Karola Salwatora, którego syn jest żonaty z córką cesarską. Czy te wszystkie zgony rzeczywiście zapisane być powinny na rachunek influenzy — stanowczo twierdzić nie można, ale taka jest opinia... telegramów.

Jeżeli doniesienie *Timesa* poczerpnięte zostało z dobrego źródła — a tak on utrzymuje pomimo wielostronnych zaprzeczeń — to przygotowywa się wypadek dość ważny. Wiadomo, że cesarz austryacki winien jest od lat kilku wizytę królowi włoskiemu, której mu złożyć nie może z powodu papieża, poważnionego z dworem rzymskim. Monarcha katolicki, któryby przybył do Kwirinału, nie mógłby być przyjęty w Watykanie. Otóż podobno arcybiskup wiedeński podjął się trudnej roli pogodzenia Leona XIII z Humbertem i umożliwienia Franciszkowi Józefowi odwiedzin w Rzymie. Odpowiednie układy toczą się bardzo energicznie i mają być już blizkie celu. Popiera je nietylko stronnictwo zgody śród kardynałów, ale także Niemcy, które tym sposobem chciałyby odciągnąć papieża od Francyi i zyskać dla troistego sojuszu.

Leon XIII uwikłał się w poważny kłopot. Powierzył on zarząd nad olbrzymimi kapitałami świętopietrza prałatowi Folchi, który na nieszczęśliwych spekulacyach i pożyczkach stracił 23 miliony lirów. Rozgniewany papież pozbawił go urzędu i wszelkich dostojeństw, a sąd watykański zaocznym wyrokiem potępił i skazał na zwrot zatraconych pieniędzy. Ale ten zaoczny wyrok miał skutki fatalne. Potępiony bowiem bez zbadania prałat dostarczył dziennikom dowodów, przekonywających, że sam Leon XIII był winien tej straty, że on polecał swemu skarbnikowi nabywanie wątpliwych akcyj i spekulowanie na giełdzie, że on kazał wypożyczać podrujnowanym arystokratom znaczne sumy, które przepadły. Z tej kłótni wydobył się skandal, który jednak miał tę dobrą stronę, że światu pozwolił wejrzeć w tajemnice gospodarki świętopietrza.

Izba francuska była zawsze widownią scen gorszących, ale zdaje się, że teraz doszła w tym kierunku do punktu kulminacyjnego. Ponieważ *Intransigeant*, organ Rocheforta, rzuca ustawicznie oskarżenia na ministra spraw wewnętrznych, Constansa, twierdząc, że jest kryminalistą, trucicielem, mordercą itd., więc bulanżyści Lesenne i Laur, którzy również go nienawidzą, wnieśli w tym przedmiocie interpelacyę do rządu. Freycinet odmówił odpowiedzi, a Laur przypisał to „łzom Constansa.“ Wtedy Constans biegnie do trybuny i dwukrotnie uderza w twarz Laura. Powstaje tumult, bijatyka, przerwanie posiedzenia—a następnie pojedynki. Minister przeprosił Izbę za swój wybuch, usprawiedliwiając się, że są wypadki, w których niepodobna zachować zimnej krwi. Rzeczywiście banda Rochefortowska przeszła już dawno najdalsze granice napaści i oszczerstwa.

Portugalia ma przełom ministeryalny. Dotychczasowy gabinet podał się do dymisyi, więc utworzono nowy. Fakt ten dla ogólnych stosunków europejskich posiada tak mało znaczenie, iż nie warto się nad nim zastanawiać.

W Belgradzie ukończono już śledztwo przedwstępne w procesie, wytoczonym z powodu zaburzeń podczas odjazdu królowej Natalii. Sprawa ma być sądzona 9 lutego.

Rząd bulgarski wręczył komisarzowi tureckiemu odpowiedź swoją w przedmiocie noty, która ma być przesłana Francyi w sprawie Chadourne'a.

Abbas wstąpił już na tron kedywa.

BADANIA NAUKOWE.

LISTY PETERSBURSKIE.

W miesięczniku *Siewiernyj Wiestnik* (listopad i grudzień) p. Karejew umieścił artykuł p. t' „Historya i filozoficzne znaczenie idei postępu.“ Jest to praca dorywcza, lecz kwestya sama w sobie nader poważna; rozważmy główniejsze punkty.

Zjawisko idei postępu ze stanowiska psychologicznego może mieć dwa początki: 1) empiryczny, oparty na spostrzeżeniu, że ludzkość wciąż się doskonali; 2) idealistyczny, zrodzony z wiary w osiągnięcie wyższych celów. Tego drugiego poglądu w klasycznym świecie zupełnie nie znano. Owszem niektórzy, jak np. Horacy, mniemają, że ludzie stają się coraz gorszymi. Plato, Arystoteles, Cycero na polityczne formy patrzą jak na zaklęte koło. Niektórzy jednak zaznaczają, że wiedza doskonali; do tych należą Hezyod, Eschyles, Lukrecyusz, Wirgilusz, Seneka... Niestety, ci w przyszłość nie wierzą. Lukrecyusz mniema, że ludzie pierwotni się czystsi i szczęśliwsi, Seneka zaś, unosząc się nad postępem wiedzy, ubolewa nad upadkiem moralności.

Ostatecznie poglądy mędrców greckich i rzymskich można wyrazić następnie: 1) dawniej świat był głupszy, lecz moralniejszy, 2) zjawiska wciąż się powtarzają.

Oba te zapatrywanie w XVIII w. zyskały swych głosicieli. Zwolennikami pierwszego jest Rousseau, drugiego — Voltaire.

Nowszy historyk idei postępu Leon Maury o klasykach tak powiada:

„Czem był, podług ich przekonania, taki rozwój? Była to większa różnorodność zjawisk i rezultatów. Obyczaje i prawa stawały się bardziej złożonemi, pojmowano lepiej zjawiska przyrody, powstawały i ulepszały się sztuki, lecz w moralnem znaczeniu ludzkość nic na tem nie zyskiwała. Był to rozwój, lecz nie postęp.

Wówczas jednak, gdy mitologia upewniała, że bogowie urządzili wszystko jak

---

Nazajutrz dzwonię trzy razy — nie przychodzi. Byłem zirytowany, ból dokuczał mi bardzo. Jeszcze więc raz gwałtownie pociągam taśmę od dzwonka, spostrzegam go, wracającego z ulicy do hotelu. Zziajany, biegnie bardzo prędko... Kiedy wszedł wreszcie do mnie, uniosłem się:

— Od trzech kwadransy dzwonię. Chętnie bym przecież podwójnie za usługi płacił... Proszę mi dać kieliszek wina!..

Widziałem, że słowa moje bolą go; jednak nic nie odpowiedział, pośpieszył tylko po wino. Cierpliwość jego wzruszała mnie; uczułem nagłą jakąś litość nad tym człowiekiem. Może jeszcze nigdy przyjaznego nie słyszał słowa — i ja go skrzywdziłem! Postanowiłem natychmiast wytłomaczyć się przed nim. Kiedy więc powrócił, rzekłem:

— Przepraszam cię, Obulacz! Nigdy ci już nic podobnego nie powiem. Jestem dziś chory!

Uprzejmość moja zdawała się cieszyć go niezmiernie.

— Musiałem dzisiaj rano odejść pana — rzekł — pilny interes, musiałem, zapewniam pana!

Ośmielony wracał potrosze do dawnej gadatliwości; znowu jął pleść dawne swoje duby o gościach hotelowych.

— Póki pamiętam! — rzeknie — teraz właśnie jaśnie pani posłała umyślnego po pieniądze do domu. Pavo twierdzi, że ruleta ją zrujnuje. Pierścieni jeszcze nie wykupiła.

Wieczorem siadłem sobie znowu na werandzie. Rękę nosiłem w temblaku. Ilicz legł na ławce i czytał. Wtem pyta mnie, czy słyszałem, że jaśnie pani posłała umyślnego po pieniądze? Przed południem miała konferencyę z Pavem: Pavo prawił, matka płakała. Lecz nie pomogły perswazye: pani obstawała przy tem, że musi odzyskać stratę. Myli się, kto sądzi, że ona tym graczom-spiskowcom daruje ni stąd ni zowąd sumę trzydziestu sześciu tysięcy leiów! Zresztą wcale nie chce grać, chce się tylko odegrać. Okazywano jej litość kiedy przegrywała! Niech wiedzą, że ona takiemi pierścieniami, jak przegrane, każdemu żebrakowi może wszystkie palce ozdobić! I nie będzie to o wiele uboższą!

— A to prawda — dodaje Ilicz od siebie. Jest ona już tak daleco graczem, że straty nie stawia na pierwszym planie. Pociąga ją słodycz grzechu, przykuwają tortury, prądy, które nerwami jej wzruszają, ilekroć na karcie stoi majątek, wygrana albo przegrana.

— A Pavo, co Pavo na to?

— Uchodź przed pokusą! — mówił. Opamiętaj się, niewiasto! Mówił długo. Głos jego był smutny — nieraz rękę ku niebu wznosił. Komicznem było patrzeć, jak ten wyrafinowany ladaco zalecał matce przyzwoite życie, którego on oddawna już nie znał. Posunął zuchwalstwo do tego stopnia, że zaczął matkę najpoważniej w świecie napominać. Odpowiedziała, że gra tylko dla jego dobra: chce go wyleczyć i ani pieniędzy, ani starań szczędzić na to nie będzie. Wtedy Pavo uniósł się: on zawsze stał na straży godności własnej, ona natomiast zgrała się do ostatka: przegrała klejnoty, zastawiła je w oczach całej publiczności. On zawsze strzegł swego honoru, nigdy namiotu swego pod zastaw nie dawał; namiot jego jest czysty, nietknięty; szanował swoją własność. Wreszcie począł jej grozić księciem Yariw...

— Cicho! — odpowiedziała. Ślubowałam, że pokażę ci skutki twojej rozpusty i ślubu dotrzymam. Czy żądasz, że zadowolę się tem, że cię do połowy uleczyłam? Nigdy! Bądź zdrów.

I nie pomogło — Pavo poszedł. Lecz od matki poszedł wprost na salę gry.

— A pan nie wierzy — pytam — że jaśnie pani istotnie przez ten rozpaczliwy środek chce syna wprowadzić na drogę poprawy?

najlepiej, nie mogą więc przerabiać świata na nowo, Judea oczekuje lepszych czasów, przyjścia Mesyasza. Zdawałoby się więc, że skoro (dla świata chrześciańskiego) Mesyasz ukazał się, wszelkie nadzieje na przyszłość powinny być odrzucone. Nie tak się jednak staje. Św. Paweł i pierwsi pisarze kościelni przekonani są, że ludzkość, dążąc drogą religijnego ideału, stanie się jednem wielkiem bractwem. Sekty zaś podług swych ideałów oczekują lepszych czasów, np. Montaniści upewniają, że chrześciaństwo jest „tylko stopniem do doskonałości, że w czasach niemowlęcych ludzkość uczyli prorocy, teraz nastał młodzieńczy okres ewangelii, wreszcie nastąpi czas dojrzałości z nowem zesłaniem Ducha św. i nauką Paraklota, co się spełni, gdy przyjdzie Montanus.

Tertulian dowodzi, że w sprawach łask bożych, jak w sprawach natury, wszystko wzrasta, krzewi się.

Św. Augustyn uczy, że historya ludów jest wypełnieniem planu odkupienia, a dzieli się na trzy okresy: 1) natury, 2) prawa, 3) łask bożych. Widzi on przytem postęp i po za obrębem religii; w tym względzie staje się poprzednikiem Paskala i Hegla, a wyższym od klasyków: „Czyż rozum człowieka (ten dar boży), czyniąc czasami niepotrzebne, a nawet szkodliwe wynalazki, nie wykazał wielkich zdolności?“

Św. Augustyn, jak wiadomo, żył wówczas, gdy się już zaczynał umysłowy zastój, to też na długo potem myśl umiera, a gdy się budzi — naprzód w formie scholastyki — zaczyna ożywać idea postępu, naturalnie wzorując się na klasykach, w sferze zaś moralnej stosując się do ojców kościoła.

Tak Hugo de Sancto Victoro w XII w. powiada, że wszystko w świecie podlega rozwojowi. Wyższy umysł samą religię pojmie inaczej, lepiej.

Tomasz z Akwinu (XIII w.) uczy nader charakterystycznie: Wszystko się doskonali!.. I pierwsi filozofowie patrzyli na rzeczy niezbyt jasno, lecz następni poprawiali ich błędy.

Roger Bakon mniema, że prawda wciąż wzrasta i że młodsze pokolenie ma możność poprawiać omyłki starszego.

Z innej strony, głosiciele „wiecznej ewangelii“ oczekują królestwa Ducha św. Uogólniając poglądy średnich wieków, znowu widzimy dwie główne idee postępu: 1) empiryczna, zrodzona na spostrzeżeniu, że wiedza wzrasta. 2) idealistyczna — oparta na religii.

Zaczyna się wreszcie ożywiona epoka Renesansu, wydobywają się znowu na świat dowodzenia klasyków. Bodin (XVI w.) uczy, że wszystko się powtarza w pewnych okresach. Włosi: Machiawelli, Guicciardini i Vico wtórzą mu. Za to inni, uśmierzając zapał do klasycyzmu, twierdzą, że stary czas, dojrzały, jest to czas teraźniejszy, ten zaś, co nazywamy starym, jest młodzieńczy, nie powinniśmy przeto dążyć ślepo za klasykami.

Do połowy XVIII w. nic nowego w poglądach na ideę postępu nie spotykamy: Są zwolennicy klasyków i zwolennicy myślicieli średniowiecznych. Encoklopedya Diderota i D'Alamberta, wyliczając ideje i wiedzę połowy XVIII w. słowo *perfectionabilité* zupełnie opuszcza. Voltaire niekiedy mniema, że świat zawsze był taki, jak teraz, Rousseau natomiast, że doskonalenie się umysłowe jest „źródłem wszelkich nieszczęść człowieka.“

W tym czasie jednak zachodzi ważna zmiana w historyi idei postępu, mianowicie, wszelkie zagadnienia i badania — teologia ustępuje filozofii.

Nowa epoka zaczyna się od Turgota. W 1750 r. w Sorbonnie ma on dwa odczyty. W pierwszym wskazuje, że chrystyanizm głosząc dostojność i prawa człowieka, ustanawiając równość, przyczynił się w znacznej mierze do postępu; w drugim, że pomimo walk, krzywd ludzkość się ulepsza, a mniema, że z czasem, dążąc drogą prawdy, dotrze do najwyższej moralności i szczęścia.

Ideje Turgota znalazły apostołów takich, jak Condorcet, Pölitz, Gibbon, Priestley, Lessing, Herder i wreszcie Kant. Ten ostatni przenosi ideę postępu na grunt zupełnie nowy — społeczny.

Wówczas gdy Condorcet w umyśle ludzkim widzi zdolność do doskonalenia się, Lessing i Herder wierzą w postęp moralny, Kant w *Historyi idei powszechnej* (1784 r.) patrzy na samą historyę jako na nieodwołalny plan przyrody. Rozwój tej idei zaczyna się szczególnie w literaturze XIX w. po rewolucyi francuskiej. Do tego zaś czasu spotykamy ją jeno u Pölitza.

Początek XIX w. jest nader ruchliwy. Jedni pracują nad historyą cywilizacyi, roztrząsając dodatnie strony oświaty, drudzy w zakresie filozofii starają się dociec, jaka ma być przyszłość. Reformatorzy społeczni z teoryi postępu czynią prawie religię, której zadaniem jest osiągnąć bezwzględną sprawiedliwość.

Literatura i sztuka, dążąc drogą wytkniętą przez historyków i filozofów, pracuje nad ulepszeniem stosunków ludzkich. (Beranger, Hugo, Lamartine, Heine, George Sand etc.).

Najwybitniejszy z historyków Guizot, rozważając znaczenie postępu, powiada: Jest to rozwój społeczeństwa, ulepszenie życia obywateli, ich stosunków wzajemnych. Widząc jednak, że bogate kraje bywają więcej zacofane, niż biedne, że przy mniejszym porządku społecznym ludzkość przedstawia się wspanialej, mniema, że zupełna cywilizacya wymaga obok rozwoju społecznego, rozwoju jednostki i ludzkości (humanité), a powinna zawierać w sobie postęp umysłowy, moralny i społeczny.

Filozofia owoczesna dowodzi, że ludzkość się zmienia, kształci i dąży drogą rozwoju.

Wierząc w świetną przyszłość, patrząc na historyę, jako na wypełnianie pewnego planu, filozofowie za pomocą dyalektyki starają się odgadnąć prawo historyczne. Jest to rzeczą nader znamienną dla owego czasu. Dyalektycy nie dostrzegali, że dowodzą wniosków z góry wytkniętych, w które wierzą najwięcej; że nie poszukują, jeno twierdzą. Przedstawiciel tego poglądu, Hegel, mniema, że historya ludzkości jest rozwojem ducha wszechświata, poznającego swe jestestwo, a to ostatnie zawiera się w swobodzie. Cel ów nie ma na względzie człowieka, ludzie są tylko orężem wyższej siły, pracują nie dla siebie, lecz gwoli zamiarom owego ducha. Takie twierdzenie jest dalszym ciągiem teoryi Kanta, a ma tę ujemną cechę, że czyniąc postęp zjawiskiem fatalistycznem, odbiera możność pracowania w pewnym kierunku, to też staje się źdźbłem, z którego z czasem urosło drzewo pesymizmu.

Natomiast pisarze społeczni (np. Fourier, Buchet, Leroux) mniemają, że ideały służą dla dobra ludzkości i potrzebują od człowieka wysiłków, pracy. Saint Simon z początku trzyma się idei Condorcet'a tj. postępu umysłowego, lecz z czasem wierzy w postęp moralny, a szczególnie społeczny. Ponieważ niewolnictwo przetworzyło się w formę łagodniejszą — poddaństwa, to zaś ostatnie w najemnictwo, z czasem więc ujrzymy zupełnie nową organizacyę pracy. Nie poprzestając na otusze, Saint Simon daje wskazówki, jaką drogą ludzkość ma podążać.

Od połowy XIX w. teorya postępu przeistacza się w ewolucyę, której krańcowa idea twierdzi, że historya nie jest rozwojem korzystnym dla ludzkości, ale zmianą form i że człowiek nie ma prawa poszukiwać celów.

Tutaj widzimy trzy główne kierunki: pozytywny, transformiczny (przeobrażenia)

Pokiwał głową.

— Może — rzeknie — ale to się nie uda. Zresztą namiętność owładnęła nią i synem w równym zupełnie stopniu.

Całe miasto mówiło o jaśnie pani ze Sinvara. Ona nie dbała o to. Głowę niosła jeszcze dumniej, niż dotychczas, żartowała sobie z otoczeniem.

— Patrzy pan na moje ręce! — mówiła naprzykład; ach rzeczywiście zubożałam ogromnie; nawet pierścienie zastawić musiałam!

Wypowiadał to tonem bardzo ironicznym. Do sali nie chodziła; lecz kazała sobie donosić o przebiegu gry, a kto przegrywa, wiele kto ryzykuje, kto gra najśmielej... Nazajutrz Ilicz opowiedział mi, że jaśnie pani modliła się przez trzy godziny o szczęście: odbierze tylko swoje pieniądze, potem przestanie. Głośno ślub ten Bogu złożyła, zalewając się przytem łzami; Ilicz wiedział o wszystkiem od Obulacza, który podsłuchiwał pode drzwiami jaśnie pani.

Upłynęły trzy dni. Ból ręki ustał, postanowiłem wyjechać wieczorem. Idę więc do miasta, aby poczynić zakupy na drogę oraz do policyi, ażeby zaawizować paszport. Wracając, przechodzę koło namiotu Pava. Mimowoli zaczynałem interesować się tym człowiekiem i jego matką: wszyscy o nich tylko mówili, cały hotel rozbrzmiewa opowiadaniami o tym człowieku i jego matce: wszyscy o nich tylko mówili, cały hotel rozbrzmiewa opowiadaniami o tych dwóch osobach. W końcu i ja uległem: codziennie zapytywałem o jaśnie panią.

Wstępuję więc do namiotu Pava. Poprzedniego wieczora zasłyszałem, że wygrał znaczną sumę w Faraona. Zgrał jakiegoś cudzoziemca do ostatniego grosza, poczem podarował mu sto pięćdziesiąt leiów; szczęście wciąż mu służyło, wygrywał dużo, omal że nie rozbił banku. Zabierał się właśnie do błękitnych kostek — każda z nich przedstawia dziesięć tysięcy leiów — północ grę zakończyła.

— Czy da pan wiarę — zawołał Pavo na przywitanie — czy da pan wiarę, jaśnie pani ze Sinvara, matka moja, była tu przed chwilą, aby ode mnie pożyczyć pieniędzy: chce niemi wykupić klejnoty. Nie popełnię jednak takiego głupstwa, ani mi się śni! Matka moja jest bardzo dobra, bolało mnie, że pomocy musiałem odmówić jej, lecz uczyniłem to dla jej dobra. Syn powinien stać na straży honoru domu. Matka moja pojąć musi w końcu, dokąd prowadzą takie szaleństwa, musi zawczasu zrozumieć niebezpieczeństwo. Sądzę, że postąpiłem słusznie, mądrze i słusznie! Albo może nie?

Fizyognomia jego była mi w tej chwili wstrętną. Mówiąc, pochylał czoło, marszczył, spuszczał je, jak gdyby pragnąc zakryć piętno jakieś, które je znaczyło; ilekroć podniósł oczy, oczy te kłamały. Miał śliczną szyję i kształtne czerwone usta.

— Może nie? — powtórzył.

— Nie wiem! — odrzekłem.

— Tak! — zawołał gniewnie — to znaczy, że pan wogóle najrozsądniejszych argumentów nie rozumiesz.

Poruszył gniewnie ramieniem i zaczął chodzić za stołem, tam i napowrót.

— Czem mogę służyć, bo pewnie pan z potrzeby wstąpił?

— Proszę o pudełko zapałek, o sztuczkę czarnej jedwabnej wstążki i o paczkę kopert.

Wymieniłem na prędce przedmioty, które mi na razie na myśl przyszły; wcale mi nie były potrzebne. Odebrawszy pakunek, odszedłem.

Wchodzę do hotelu — naprzeciw mnie wybiega lokaj, zwiastując mi, że kuryer jaśnie pani przybył z pieniędzmi. Pani czeka tylko otwarcia sali. Pavo nic o tem nie wie, nie powinien o tem wiedzieć; pani dała lokajowi na piwo, byle tylko nie szedł do Pava i nie gadał.

Wybiła piąta.

i ewolucyjny (rozwojowy). Przedstawicielami zaś ich: Comte, Darwin i Spencer. U Comte'a postęp jest głównem prawem społeczeństw ludzkich, Darwin dowodzi, że prawo to istnieje i w świecie organicznym, Spencer, łącząc jedno i drugie, twierdzi, że jest to ogólne prawo wszechświata.

Comte napisał swój *Cours de philosophie positive* w pierwszej połowie stulecia, lecz wziętość jego teoryj szerzy się dopiero w drugiej, tj. jednocześnie z teoryą Darwina. To samo się odnosi i do Spencera, którego ewolucyonizm jest niejako dalszym ciągiem pozytywizmu. Obaj wymagają czystego badania zjawisk społecznych i dowodzą, że nauka społeczna powinna trzymać się biologii.

Ten nowy kierunek ma swe dodatnie i ujemne strony. Przedtem mniemano, że tylko sprawy społeczne są zmienne, przyroda zaś nieruchoma; teraz tworzy się teorya, że wszystko się przekształca. Postęp umysłowy ograniczał się na odrywaniu praw przyrody, teraz dowodzą, że sama zdolność ludzka może wzrastać. Nabytą moralność, również jak instynkty społeczne, można przekazywać potomkom, więc powinny z biegiem czasu ulepszać się.

Odwrotna strona medalu przedstawia się smutniej. Comte, podobnie jak Hegel, tylko wyraźniej, zaznacza, że cele ludzkości wobec ogólnego prawa są niczem. Unika nawet wyrazu: postęp, zastępuje go — rozwojem (évolution spontanée). Wszelkie kwestye o ulepszeniu ludzkości, o szczęściu jednostki nazywa zbyteczną gawędką, nie wiodącą do niczego; krytykować pewne społeczne urządzenia jest rzeczą nierozsądną, powinniśmy tylko badać i zapisywać zjawiska.

Comte nie wszędzie trzyma się tej teoryi, niekiedy nakształt Saint-Simona mówi o naprawie doli mas ludowych, o władzy człowieka nad przyrodą, ulepszeniu moralności, życia społecznego... Przyczem, stawiając ideały, daje możność pracować w pewnym kierunku. Takie wahanie się twórcy pozytywizmu wytworzyło wiadomy spór między zwolennikami subjektywizmu i objektywizmu.

Spencer tylko z początku używa wyrazu — postęp, potem zastępuje go wszędzie ewolucyą, która ma na celu rozwój (zrównoważenie sił). To, co nazywamy postępem, jest po prostu wskazówką, że wszystkie zjawiska stają się coraz bardziej złożonemi. Nie jest to dla człowieka ani dobrem, ani złem — jest faktem. Ribot, zwolennik Spencera, powiada: Postęp ludzki jest tylko cząstką ogólnego i trzeba to słowo dwuznaczne zastąpić właściwszemi: ewolucyą — rozwojem. W innem zaś miejscu: „Postęp sam w sobie bywa łączony z korzyścią, jaka wynika dla człowieka... Jest to omyłka: trzeba badać rzeczy niezależnie od naszych interesów."

Widzimy więc, że ewolucyonizm, rozszerzając pogląd na rzeczy, ściśnia go zarazem; wszelkie zjawiska mają racyę bytu, chęć zaś człowieka, aby naginać je do swych potrzeb i praca w pewnym kierunku są nieprawne. Jest to bezwątpienia słaba strona owego *ostatniego słowa nauki.*

Spencer dowcipnie, lecz niezbyt głęboko, porównawszy organizm społeczny ze zwierzęcym, bada zjawiska i prawa, które zachowują go przy życiu i powodują zmiany, a mniema, że bezwzględna sprawiedliwość wymaga, żeby to zwierzę puszczono samopas.

Nie Spencer jednak stworzył ewolucyonizm, widzieliśmy go u Comte'a, a pierwsze zasady nawet u Kanta. Krom tego, wyznanie tej wiary spotykamy u wielu pisarzów.

Józef de Maistre, mówiąc o polityce, mniema (wbrew Rousseau), że człowiek nie może stworzyć społeczeństwa... Historya tworzy się jako rozwój organizmu: społeczeństwa rodzą się, żyją, umierają.

Savigny powtarza ten pogląd w badaniach prawnych, zaś Wilhelm Humboldt w językoznawczych.

I prawo, i język, i historya, wszystko ma wytkniętą drogę, którą dąży niezależnie od woli człowieka, jemu więc pozostaje skromnie oczekiwać, co dalej będzie i żadnych wysiłków nie czynić. Dla umysłów biernych lub zadowolonych z życia taka rola jest ponętną, dla innych pozostaje determinizm i pesymizm.

Tak smutny wynik dowodzi, że w zakresie ducha, również jak w zakresie ciała, siły nie zużyte na pracę, czynią zniszczenia wewnętrzne. Historya uczy, że Europa dbała przedewszystkiem o rozwój umysłowy i to, co zyskała, należy przypisać pracy w tym kierunku, nie zaś biernemu oczekiwaniu.

Czas teraźniejszy cechuje się naprężeniem myśli w zakresie badań społecznych. Co się tyczy postępu moralnego, teraźniejsi pisarze (np. Buckle) na równi ze starożytnymi nie wierzą weń.

A jednak samo zwątpienie dowodzi, że ludzkość stawia sobie ideały, że otrzymuje pewne rezultaty, inaczej nie czułaby goryczy, widząc, jak mało zrobiono w tym względzie. Zauważymy: mądry Plato mniema, że państwo jest niemożebne bez niewolników, a Hegel marzy o swobodzie wszystkich. Śmiemy twierdzić, że skoro ludzkość zacznie popierać moralność, otrzyma owoce, również jak i w zakresie umysłu. Tymczasem zaś o dzisiejszej filozofii możemy powiedzieć to samo, co Leon Maury pisze o klasykach:

Jest to większa różnorodność zjawisk i rezultatów. Obyczaje i prawa stają się bardziej złożonemi, pojmujemy lepiej zjawiska przyrody, powstają i ulepszają się sztuki, lecz w moralnem znaczeniu ludzkość nic nie zyskała. Są to badania empiryczne, lecz nie postęp.

N. B.

NIE DO UWIERZENIA A JEDNAK PRAWDZIWE,

czyli spolszczenie geologii Dany przez p. J. Siemiradzkiego, doktora „es sciences," docenta geologii na cesarsko-królewskiej wszechnicy we Lwowie.

II.

Na str. 63 powiedziano, że w okresie pierwotnym (azoicznym) „ukazują się pierwsze zaczątki życia," a na str. 64, że okres ten grał „tylko rolę przygotowawczą do ukazania się życia"; i cóż znów pocznie z tem uczeń? W podobnyż kłopot wprowadza go p. S., mówiąc na str. 65, że skały archaiczne są pierwotną zastygłą skorupą, a na str. 30, że skorupa taka jest niewidoczna.

Na str. 66 p. S. w zwykły sobie, już wyżej wzmiankowany, sposób mówi o „przesunięciach warstw" bez poprzedniej definicyi tego pojęcia. Przy tem jak uczeń ma to rozumieć, że „wypiętrzenie i krystalizacya skał archaicznych pozostają ze sobą w związku przyczynowym," boć można myśleć zarówno, że krystalizacya wywołała wypiętrzenie, jak i to że wypiętrzenie wywołało krystalizacyę.

Terminów „stropy i „spąg" używa p. S. dopiero mówiąc o formacyi węglowej (s. 36), uczący się więc będzie myślał, że one jedynie w tej formacyi mają zastosowanie.

Kwestye klimatologiczne też traktuje p. S. w sposób wiele do życzenia pozostawiający. Tak na str. 100: „znaczne przestrzenie oceanów wskutek wiatrów mają powietrze suche"; wątpimy bardzo, czy początkujący zrozumie to „wskutek"; trzeba było powiedzieć jakie to wiatry i dlaczego są suche mimo to, że wieją nad wodą. Na str. 116 termin: „klimat podzwrotnikowy" używany w znaczeniu zwrotnikowego (toż samo na str. 123, 139, 168, 169). Tymczasem zupełnie co

---

Jaśnie pani pojawiła się w sali natychmiast po jej otwarciu. Była niespokojna, czyniła dziwne jakieś ruchy, czoło jej było skroplone potem. Usta jej poruszały się jakby szeptem, ciągle jednako, jak gdyby wciąż te same powtarzały słowa. Książę i stary wojak również zajęli już swoje miejsca przy stole; nie było jeszcze rumuna. Kilku cudzoziemców rozpoczęło grę. Jaśnie pani przedewszystkiem wykupiła swoje pierścienie i włożyła je na palce: pocałowała je kilkakrotnie, widać z wdzięczności, że je wreszcie znowu ma w ręce.

— Zamierzam grać jaknajwyżej — mówi do bankiera, nie darząc go jednak spojrzeniem. I z uśmiechem dodaje: To jest, póki mi starczą pieniądze.

— Życzę szczęścia!—odpowiada bankier.

— Wszystko mi jedno! — odpiera, wzruszając ramionami.

I gra rozpoczyna się.

Jaśnie pani stawia trzy razy po kolei na czerwone i wygrywa. Chowa resztę pieniędzy do kieszeni, operuje tylko wygraną. Parę razy próbuje szczęścia na zerze, lecz przegrywa; gniewa ją ta zmienność szczęścia i znowu więc wraca do czerwieni i — wygrywa. Stawiając lub zgarniając pieniądze, powtarza wciąż jakieś dwa, trzy słowa szeptem; nikt jednak słów tych nie rozumie. Leży przed nią wielka suma pieniędzy: gra bez rachunku, bez zastanowienia, puszcza się na wielkie ryzyka i, aby nie tracić czasu, przygotowuje świeżą stawkę, zanim się jeszcze koło zatrzyma. Nie liczy; gra w ekstazie. Osłupiałe jej oko pada na wyraz *Mangre*, wypisany wielkimi czarnymi znakami na czarnej tafelce stołu. Składa wielką stawkę na wyraz *Mangre.*

— Dwadzieścia trzy!

Wygrywa. Wygrywa bezustannie. Mangre jest dzisiaj jej atutem, dwa razy po kolei stawia po pięć tysięcy leiów na Mangre i wygrywa. „Voi b'baijz!" (Boże dopomóż mi) szepcze prawie głośno; kołysze głowę i ciągle powtarza: Boże, dopomóż mi! Więc już od kilku godzin szepcze te same słowa modlitwy! Nie wstyd jej, że otoczenie ją słyszy, — gra całkiem ją pochłania. Ostatnie wygrane tak ją zmieszały, że zapomina przygotować stawkę, i na własne szczęście! Kula tym razem pada na dwanaście. Pani wraca trochę do siebie, bierze parę garści złota, kilka ciężkich rulonów — stawia piętnaście tysięcy leiów na czerwone; w tejże chwili ogarnia ją okropny lęk i wyciąga rękę, jak gdyby cofnąć chciała złoto; jednak zostawia je na miejscu. Głośno oddycha, pierś jej faluje, zcicha jęczy. Koło staje.

— Czerwone!

— Czerwone! — powtarza i wielkim głosem woła na całą salę: Voi b'baijz!

Od tej chwili traci zupełnie przytomność. O dziesiątej wchodzi kilku cudzoziemców: to właściwi gracze, dla których dzień dopiero się zaczyna o dziesiątej. Pomiędzy nimi jest i rumun. Zapominam o podróży: jak przykuty stoję na miejscu, z największem natężeniem śledzę grę jaśnie pani. Ona nie spostrzega nawet nowoprzybyłych, prawie nie widzi, iż prócz niej jeszcze ludzie grają. Szczęście halucynuje ją: wielkiemi sumami uwija się jednocześnie po kilku liczbach. W przystępie jakiegoś kaprysu, wiedziona nagłym pomysłem, bierze garść papierków i stawia najwyższą stawkę na dwadzieścia pięć. Z pośród graczy trzech idzie za jej przykładem... Wszyscy szepczą i czekają.

— Trzynaście!

Przegrana! Jaśnie pani wciąż powtarza swoje: „Voi b'baijz!" Rumun zgrzyta zębami. Teraz nikt już za nią nie idzie — straszna gra przejmuje wszystkich grozą.

— Czarne!

Znowu wygrana!

W gwarze, ktory się teraz wszczyna, słyszę wyraźnie klątwy rumuna; wkrótce potem we drzwiach ukazuje się Pavo, za nim

innego jest klimat podzwrotnikowy (subtropisch) z deszczami zimowemi, a co innego zwrotnikowy z deszczami letnimi zenitalnymi; mógłby się o tem poinformować p. S. we wspomnianej już meteorologii Mohna (Dana też używa prawidłowo terminu: „tropical").

Na str. 130 czytamy: „podniesienie Alp wschodnich *czyli* (?) Berneńskiego Oberlandu."

Na str. 141: „*całą* równinę północnej i środkowej Rosyi pokrywa glina lodowcowa z głazami skandynawskimi." Tymczasem z mapy Nikitina (*Peterm. Mitteil.* 1886) mógł się p. S. przekonać, że nie „*całą*." Glina lodowcowa ma też być w Belgii; tymczasem właściwe zlodowacenie zajmowało jeszcze tylko północne prowincye Holandyi, skąd ku południowi wysyłało tylko wązkie języki, „welche keinen echten Geschiebelehm, sondern nur sandige Grundmoränenpartieen hinterliessen" (ob. A. Penck *Das Königr. Niederland*, 452). Równina Belgii jest pokryta piaskiem rzecznego pochodzenia (Campine), czwartorzędowa zaś glina nie jest lodowcowego, lecz po części morskiego pochodzenia (marsch), po części stanowi löss. (Ob. tegoż *Das Königr. Belgien*, 540).

Dalej co uczeń ma począć ze zdaniem na str. 142, że „fiordy i glina lodowcowa mogą mieć wspólny początek"? Jakiego o tym „początku" może nabyć wyobrażenia, a to tembardziej, że on nie jest bynajmniej „wspólny." Na tejże stronicy spotykamy wyrażenie: „niziny szwajcarskie," co przypomina ową słynną „marynarkę szwajcarską."

Wyrażenie: „morze żłobi doliny i wzgórza" (str. 149) jest może pozornie zrozumiałe dla profanów, ale z pewnością niezrozumiałe dla specyalistów. Dana w odpowiednim miejscu, mówiąc o działaniu lodu i potoków zeń powstałych w epoce lodowej, dodaje: „Thus the excavation of walleys and the sheping of hills and mountains were ewerywhere in progress (s. 374). Pan S. chcąc zapewne ustęp ten „uzupełnić według najświeższych wyników nauki" opuścił wyraz „shaping" a dodał „morze" i otrzymał stąd dziwoląga.

Pan S. używa czasami stylu wzniosłego: tak na str. 151 i 152 czytamy: „Naroszcie zjawił się człowiek *stworzony* z materyi i obdarzony życiem" — „powstało wiele gatunków nowych, tych zwłaszcza, które zdają się być *przeznaczonymi* do wywołania rozwoju fizycznego, umysłowego i estetycznego zmysłu u człowieka." A myśmy myśleli, że już minęły te zamierzchłe czasy, gdy geologię przeplatano wypisami z Biblii. Pomimo badań Suessa p. S. wierzy jeszcze (str. 154), że „w okolicach delty Indu pas ziemi długi na 80, a szeroki na 16 km. podniósł się o 3m"; tymczasem Suess już dawno okazał, że to nie żadne „podniesienie,", tylko zapadnięcie, które wytworzyło „Abstufung" gruntu (Ob. Suess *Das Antlitz der Erde*, I, 1883, str. 61). Również z Suessa mógłby się był p. S. przekonać, że „podniesienie" wybrzeża Valparaiso jest co najmniej wątpliwe. Ale ktoby tam u nas czytał Suessa: u nas nietylko przeczytanie, ale nawet napisanie dzieła podobnego do Suessa nie posunęłoby człowieka ani o szczebel wyżej na drabinie sławy; kto ma rozsądek, ten wie, ze wysłanie jednego patetycznego telegramu do naukowego zjazdu o typie: „przed wyjazdem za ocean śle wam koledzy serdeczne pożegnanie," (co wnet powtórzą wszystkie kuryery i gazety) daleko prędzej wypchnie człeka do góry, zjedna sławę oraz zaufanie wydawców i mecenasów.

Na tejże stronicy (154) czytamy, że dront dziś zaginiony żył jeszcze w wiekach *średnich* na wyspie św. Maurycego, tymczasem na s. 152 żył do wieku XVIII; i znów tedy trzeba stukać w palce.

Dalej przytacza p. S. różne zmiany poziomu, np. „obniżanie Holandyi" i twierdzi, że fakty te dają nam poznać „istotę" ruchów skorupy ziemskiej; tymczasem właśnie „istoty" zmian poziomu wogóle nie znamy, a fakty przytoczone mogą wypływać z najrozmaitszych przyczyn; z jakiej zaś wypływają w każdym danym razie, to zwykle trudno rozstrzygnąć. Co do Holandyi zaś jest to zjawisko czysto miejscowe, wynikające z obsiadania miękich obsychających napływów i nic wspólnego z ogólnemi zmianami poziomu nie mające. Zresztą p. S. wierny swej dwoistej, Janusowej naturze zapomina, co powiedział na str. 154 i później na str. 216 mówi zgodnie z nowszemi poglądami, że to nie ląd, lecz woda podlega ruchom; ale tak radykalne przeniesienie wszelkich ruchów z lądu na wodę w ostatnich czasach obudziło znów reakcyę. Należało więc powiedzieć, że jest to zjawisko skomplikowane od wielu przyczyn zależne, ale nie twierdzić rzeczy wprost przeciwnych na różnych stronach. Lecz co tam wdawać się w subtelności wobec tak grubych, zdumiewających błędów, jak na str. 160: p. S. twierdzi tu mianowicie, że gdy zatoka zostanie odcięta od morza tamą, „wówczas woda tych zatok *osadza na dnie sól, a wysłodzona* nie jest w stanie podtrzymać" itd. Więc tedy panu S. się zdaje, że przez osadzanie soli na dnie woda zatoki wysładza się tak jakby sól została tu odjęta wodzie przez jakiś cud; tymczasem nawet młodzi czytelnicy pana S. wiedzą już o tem, że ażeby woda osadzała sól na dnie, musi wprzód dojść do stanu nasycenia, czyli osiągnąć maximum słoności, nie zaś wysłodzić się! Otwornice wytwarzają u pana S. na str. 165 skorupki *krzemienne*, na str. zaś 167 — skorupki *wapienne*. I cóż znów na to czytelnik?

(D. n.).

Wacław Nałkowski.

LITERATURA I SZTUKA.

WALKA PŁCI.

Stosunek dwu płci już w starożytności określony został jako walka. Lecz kiedy poeta rzymski, słynący jako znawca tajemnic miłości, ten wojenny stosunek upatrywał w niej i w małżeństwie, dziś mówiąc o zatargu płci mamy najczęściej na myśli ich walkę konkurencyjną. W takim też duchu autorka niemiecka, baronowa Reizenstein, położyła w tytule swej najnowszej książki napis: „Der Kampf der Geschlechtes." Pisuje ona pod pseudonimem Franciszka v. Nemmersdorf. W formie oryginalnej, niekiedy nawet świetnej, wywody jej zawierają dawne żale niewiast, wzdychających do zupełnego wyzwolenia i dawne błędy logiczne reprezentantek wojującej kobiecości.

Mimo to zajmującą jest rzeczą stwierdzić żądania dzisiejszych emancypantek, wobec znacznych postępów, jakie ruch ten poczynił w ostatnich dziesięcioleciach. Jakież bowiem istnieją dziś jeszcze ograniczenia dla kobiet? Mogą być właścicielkami rzeczy ruchomych i nieruchomych, wolno im pod własnem nazwiskiem prowadzić interesy i sklepy; przed despotyzmem mężów chronią je sądy (czy dostatecznie chronią?), które też do świadectwa ich przywiązują nie mniejszą wagę, aniżeli do zeznań mężczyzn. We wszystkich (czy we wszystkich?) krajach wolno im kształcić się umysłowo, działać w zawodzie nauczycielskim i artystycznym; w wielu krajach dopuszczone są do pewnych urzędów państwowych (poczty i telegrafu); wreszcie szereg wszechnic stoi im otworem; znamy lekarzy, adwokatów i profesorów płci żeńskiej.

---

zaś Obulacz, który jednak języka na wody utrzymać nie potrafił! Pavo idzie wprost ku jaśnie pani, nie mówiąc ani słowa, chwyta ją za ręce i wstrząsa. Ona podnosi oczy i natychmiast się poddaje: zmiarkowała, że opór nie pomoże; była też zbyt zmęczona.

— Jakiś ty gniewny, Pavo!..

Mechanicznie zgarnia ostatnią swoją wygranę, zbiera pieniądze i zaczyna napełniać niemi kieszenie. W dzikim nieładzie miesza złoto z papierkami, ostatnią paczkę bankocetli bierze do ręki, wstaje i oddala się z Pavem. Bankier spogląda za nią wściekłem spojrzeniem: cała gra — zachwiana.

Pół godziny później w hotelu mówiono, że jaśnie pani nietylko odzyskała stratę wczorajszą, ale nadto wygrała jeszcze jakąś drobnostkę, coś około siedmiuset leiów. Potajemnie cieszyłem się jej szczęściem. Nikt inny nie grał z takim bezwzględnym, prawie pobożnym zapałem. Teraz pewnie już nigdy do rulety nie przystąpi! Przecież ślubowała!..

* * *

Następnego wieczora gotów byłem do podróży: rzeczy kazałem znieść na statek, rachunek zapłaciłem—wszystko było w porządku. Obulaczowi wsunąłem papierek do ręki — na pożegnanie: wybuchnął płaczem. Biedak martwił się, że nie może pocałować mnie w rękę.

— Wystaw pan sobie!—zacznie po chwili — jaśnie pani ze Sinvara odjeżdża tym samym statkiem, co i pan. Obiecała Pavowi, że wraca do domu.

I wszystkowiedz ten do ostatka męczy mnie swojemi plotkami: Pavo znowu przemawiał do matki. Ponieważ nic nie pomagało, pogroził jej księciem Yariw i małym karabinem (zepsutym), którym się niestety zastrzelić musi, aby honor swój uratować... Wtedy matka ustąpiła. Oczywiście zależało jej na przyjaźni księcia, prócz tego, przysięgła przecież, że grać nie będzie z chwilą, kiedy odzyska przegranę. Słowem, jaśnie pani wraca do domu. Adję — kończył Obulacz — spotka ją pan na statku!

Była godzina piąta.

W chwili kiedy otwierano salę gry, ja puściłem się właśnie w drogę ku portowi; statek uwoził ładunek rogoży. Po upływie paru minut nadchodzi jaśnie pani ze swoim służącym: oboje są w stroju podróżnym, Tłum ją odprowadził — Pava nie widzę. Pytam o niego staruszka, stojącego opodal.

— Dlaczego nie odprowadza matki?

— Pavo jest dumny — odpowie na to jakaś młoda dziewczyna; matka, która przegrywa swoje klejnoty, dla niego istnieć nie może. Taki jest Pavo!

Przeszedłem się parę razy wzdłuż wybrzeża, dojrzałem, aby rzeczy moich przy znoszeniu nie uszkodzono, zapłaciłem tragarza. Poczem udałem się na pomost. Stary lokaj jaśnie pani znajdował się już na statku, ale jej nie widzę. Spuszczano już ostatnią rogożę, ostatni pasażer wchodził na pomost. Nagle wszędzie pytają o jaśnie panią. Stary sługa zrywa się: gdzie pani? Wszyscy szukamy jej na pomoście, w kajutach, na wybrzeżu, wszystkich o nią pytamy — naprożno! Czyżby do wody wpadła? Może umyślnie skoczyła w fale i milcząc na dnie spoczęła?.. Nagle budzi się we mnie błysk jakiegoś przeczucia, ot, głupi pomysł! Proszę kapitana, aby zaczekał pięć minut jeszcze; może przyniosę wiadomość o jaśnie pani... Wybiegam na ląd, spieszę do hotelu, pędzę co tchu na górę, na drugie piętro. Wstrzymuję oddech, otwieram drzwi do sali gry, zaglądam —

Jaśnie pani ze Sinvara siedzi naturalnie przy rulecie!..

Tłom. *Malwina Posner.*

Czegóż więc brak dziś kobietom? Chyba biernych praw politycznych *).

Lecz autorka „Walki płci“ nie domaga się tych praw. Żąda jeno poprawy wychowania, udzielania dziewczętom większej miary wiedzy poważnej i praktycznej, rozwinięcia w nich zdolności zarobkowania i utrzymywania się bez pomocy mężkiej. Żądanie to nie spotka się z oporem żadnego światłego człowieka, lecz czy spełnienie jego istotnie zabezpieczy materyalną niezależność kobiet, o tem wątpić należy wobec olbrzymiej walki konkurencyjnej, staczanej dziś przez samych mężczyzn a wykluczających większość wykształconych do pewnego zawodu kobiet od pracy w nim. Bardziej jeszcze wątpić można o tem, czy konsekwencye, płynące z rownouprawnienia ekonomicznego płci w zakresie stosunków miłosnych i małżeńskich, przyczyniają się do podniesienia poziomu szczęścia ludzkości. Baron Reizenstein nie cofa się bynajmniej przed temi konsekwencyami. Ma ona wogóle nader „dojrzałe“ poglądy o miłości, nie waha się więc i na tem polu bronić tezy równouprawnienia. Zarzuca kobietom zbytni sentymentalizm w sprawach miłosnych, a książka jej pełna jest dłuższych i krótszych opowieści, przytaczanych na podobieństwo procesów patologicznych w kompendyach medycyny. O miłości nieszczęśliwej twierdzi autorka wprost, że to człowiekowi normalnemu, zdrowemu zdarzyć się nie może. Balada Schillera o rycerzu Toggenburgu zdaniem jej jest nonsensem poetyckim, wogóle miłość jest zupełnie czemś innem, aniżeli ludzie twierdzić zwykli. Nawet ci powieściopisarze, którym nie brak odnośnych informacyj fizyologicznych i doświadczeń życiowych, według nieubłaganej baronowej nie mają odwagi wyznania prawdy, z obawy, żeby nie stracili czytelników. Zawierając małżeństwo, baczyć należy nie na miłość, lecz na pochodzenie i na zdrowie. Że serce w małżeństwie takiem nie znajdzie zaspokojenia, to bynajmniej autorki nie kłopocze: wszak świat stoi mu otworem. Zazdrość jest uczuciem głupiem wobec faktu, że miłość jest z natury swej wolną. Z upodobaniem cytuje autorka przysłowie słowiańskie o kobietach wiarołomnych: „Jeśli nie dowiedziałeś się — jest to drobnostka, jeśli dowiedziałeś się — jest to nic.“ Na takich warunkach pokoju nie przyjmujemy.

L.

*) Bynajmniej. Jeżeli mężatka nie może rozporządzać swoim majątkiem, a nawet otrzymać paszportu bez pozwolenia męża, jeżeli jest ograniczona na każdym kroku w swej woli, działaniach i ruchach, to niepodobna twierdzić, że brak jej tylko biernych praw wyborczych. *Red.*

JUBILEUSZ ENCYKLOPEDYI.

Niemcy obchodzą jubileusz olbrzymiej książki, która zużyła nerwy i mózg gromady uczonych. Słownik Brockhausa pojawia się w czternastem wydaniu, obliczonem na sześć lat; z wyjściem ostatniego tomu w r. 1896 upłynie sto lat od chwili ukazania się pierwszej edycyi. Słownik ten przez długie lata pozostawał bez współzawodnika, a egzemplarze jego rozsiane były po całej kuli ziemskiej. Wystąpienie „Lexiconu“ Meyera nie usunęło tomów Brockhausa z półek księgarskich, lecz spowodowało radykalne ulepszenie tego wydawnictwa. Już przedostatnie wydanie, obejmujące 16 tomów, imponuje zarówno obfitością i znakomitem opracowaniem materyału, jak ogromem i jakością ilustracyi, kart i planów. Najnowsze, jubileuszowe, przewyższa poprzednie pod każdym względem. Pierwsze z r. 1796 wyszło już p. t. „Conversations-Lexicon,“ do którego dodano: „ze szczególnem uwzględnieniem czasów obecnych.“ Autorem tego tytułu ma być uczony polihistor Jan Hübner, którego „Reales Staatszeitungs- und Conversationslexicon“ jest bodaj czy nie pierwszą w Niemczech encyklopedyą. Pomieszczono tu w tytule nieskończenie długie objaśnienie nazwy „Conversations-Lexicon“: ma on pouczać nietylko o wszystkiem, co wiedzieć trzeba, lecz „opisuje też jasno i wyraźnie wszystkie słowa, wzięte z obcych języków oraz codzienne *termini*, *juridici* i *technici*, używane w gazetach i w *konwersacyi codziennej*, ku szczególnemu pożytkowi uczonych i nie-uczonych.“ Nazwę tę przyswoił sobie pierwszy wydawca słownika Brockhausa, nakładca lipski Leopold. Pierwotne dzieło przedstawia się nader smutnie. Obejmuje ono sześć chudych tomików, w których brak artykułów o najwybitniejszych osobistościach współczesnych. Wydawca trzymał się zasady, że o żyjących jeszcze pisać nie potrzeba, gdyż świat wie o nich skądinąd. To pierwsze wydanie nie zna jeszcze Napoleona: dopiero w szóstym tomie, który pojawił się w r. 1808 u J. G. Herzoga, znajdujemy go, lecz nie w tekście, jeno w ogłoszeniach księgarskich, gdzie polecany jest obraz cesarza. Nie znajdujemy również Goethego nawet w uzupełnieniach, które pojawiły się w r. 1811. Za to o Schillerze traktuje tom piąty, gdyż w r. 1806 poeta już nie żył. Rzecz zajmująca, że życiorys Schillera w wielu punktach odbiega od faktów stwierdzonych dziś przez historyków literatury. Pojmujemy zresztą, że wówczas geniuszów niezbyt wysoko ceniono; dowiadujemy się bowiem z tomu szóstego, że znano sztukę płodzenia sprytnych dzieci, które wychować można na wielkich ludzi; pojawiła się nawet książka, w której podany jest sposób do wychowania całego pokolenia geniuszów.

Aż do r. 1812 „Lexicon“ jako przedsiębiorstwo niezbyt świetnie się przedstawiał. Brak mu było nakładcy, któryby z odpowiedniem wykształceniem łączył spryt i energię. Nakładca taki znalazł się dopiero w osobie Fryderyka Arnolda Brockhausa, założyciela słynnej firmy lipskiej. Wydał już dopełnienie do pierwszej edycyi, mając jeszcze siedzibę swoją w Amsterdamie. Wziąwszy zaś w ręce wydanie drugie w r. 1812, uczynił ze „Słownika“ największe i najzbytkowniejsze przedsiębiorstwo księgarskie, jakie istniało od czasu wynalezienia sztuki drukarskiej. Najwymowniej ilustrują powodzenie cyfry: drugie wydanie, obliczone na 1,500 egzemplarzy, znalazło już 3,000 abonentów; piąte, w r. 1818, rozeszło się zaraz w 12,000 egzemplarzach, później zaś sprzedano jeszcze 20,000 egzemplarzy. Aż do pojawienia się 11 wydania sprzedano 300,000 egzemplarzy, tj. 3,000,000 tomów. Dziś „Lexicon“ Brockhausa obejmuje przeszło 100,000 artykułów. Wiedza ludzka rozszerzała się w ostatnich dziesięcioleciach tak szybko, że pierwszy tom nowego wydania (litera A) ma o 3,010 artykułów więcej, aniżeli odnośny poprzedniego. Przed stu laty obejmował „Słownik“ 6 tomow, dziś 16, a w r. 1896 składać się będzie niezawodnie z 60.

„Lexicon“ odgrywa śród książek rolę podobną, jak bogaty, dobroduszny a niezbyt wykształcony bankier w towarzystwie. Każdy zeń kpi, a przytem każdy z niego korzysta. Uczeni uśmiechają się, myśląc o ludziach, którzy całe swe wykształcenie zawdzięczają encyklopedyi; lecz ze stanowiska oświaty ogólnej raczej z zadowoleniem zaznaczyć należy fakt istnienia tak przystępnego źródła informacyi naukowej.

N.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

DESZCZ SZTUCZNY.

Amerykańskie „Towarzystwo sprowadzania sztucznego deszczu“ (*The inter-state artificial Rain Company*) zdaje się nie być błazeństwem, lecz poważną instytucyą techniczno-gospodarczą, na jaką zdobyć się może tylko praktyczny i przedsiębiorczy obywatel Nowego Świata. Sam więc fakt sprowadzania sztucznego deszczu również nie jest zapewne zwykłym humbugiem amerykańskim. Inaczej trudno byłoby sobie wytłomaczyć odezwy tego przedsiębiorstwa do ruskich i polskich rolników, jako prostą bezcelność, tembardziej, że usługi Towarzystwa deszczowego były ofiarowane nie tylko nam, znanym z łatwowierności, ale dojrzałym syndykatom rolnym we Francyi i innych państwach europejskich. Niedawno ci „robiodeszcze“ wysłali swój okólnik do Odesy, a teraz, jak donosi *Kur. warsz.*, mieli podobno otrzymać takież same okólniki w języku angielskim niektóre tutejsze instytucye handlowe.

Kapitał zakładowy Towarzystwa wynosić ma 100,000 f. szt., główny zaś zarząd jego mieści się w Goodland, (Kanzas). Cyrkularz nosi datę 8 grudnia 1891 r. i jest podpisany przez sekretarza Towarzystwa, H. E. Don Carlosa. Za rękojmię, że w razie niepowodzenia prób osoby interesowane nie zapłacą Towarzystwu nic, służy dopisane na drukowanym okólniku zapewnienie, iż: *No rain no pay* — to jest, „bez deszczu nie ma zapłaty.

Nie mamy dotąd jeszcze pewności, o ile sztuka wywoływania deszczu jest istotnym podbojem natury przez wiedzę, o ile zaś przysłowiową blagą amerykańską, ale znaczącą jest okoliczność, że ojczyzną tej nowej sztuki jest Ameryka północna — ojczyzna telefonów, fonografów, elewatorów i — trustów. A tego dość, żebyśmy choć w zarysie poznali rodowód „deszczotwórstwa.“ Ideję jego zrodziły stepowe, trapione przewlekłą suszą obszary stepowe Nebraski, Kanzasu, Dakoty, Wyominga, Montany i Texasu. Brak deszczów naturalnych i nawodnień, warunków niesprzyjających wielkiej uprawie, sprawiły to, że myśl stroskanego rolnika zajęła szczególnie widownia wojny francusko-pruskiej z r. 1870. Mordercza, pożerająca setki tysięcy istot żywych i rozumnych walka, stała się dla niej mimowolnem polem doświadczeń meteorologicznych. Uderzyło uwagę szczególne zjawisko: hukowi armat towarzyszyły deszcze, pomimo, że zwykle w tej porze roku okolice, objęte pożogą wojenną, odznaczały się niezmąconą pogodą. Edward Powers, naczelny inżenier Wiosconsinu, zajął się sprawdzeniem śmiałego przypuszczenia, zebrał szereg danych statystycznych i ogłosił wyniki w dziele p. n. *Wojna i pogoda.* Wojna meksykańska z 1847, jako też walki południowców z północą w latach 1861 do 1865 dostarczyły ciekawych dowodów. Sprawdzono nagłe i obfite opady atmosferyczne na placach bitew, w miejscowościach, które przez całe tygodnie bywały pozbawione kropli deszczu.

Praca Powersa ściągnęła uwagę: zaczęto skwapliwie badać to dziwne zjawisko, jak przypuszczano, wynikające z działania na powietrze strzałów armatnich. W badaniach wzięli w r. 1874 udział generałowie Sherman, Garfield, Logan i senator Farwell. Doświadczenia jednak utrudniały: niełatwy przewóz na Zachód odpowiedniej ilości dział z arsenału w Rock Island (Illinors) i dostarczanie materyj wybuchowych. Koszt zaś wywołania jednego sztucznego deszczu Powers obliczał na 80,795 dolarów. Ze względu na to, że departament rolnictwa dla prowincyj zachodnich posiadał dobrze urządzone stacye, żywiono nadzieję, iż koszt ten da się zmniejszyć do 20,000 dol. i rząd doświadczenie poprze ze swojej strony zapomogą. Natarto więc nań, ale cyfra ta wydała się kongresowi za wysoką — zapomogi nie otrzymano. Lecz kiedy później 1880) generał Daniel Ruggles zalecił użycie zamiast strzałów armatnich spalania materyałów wybuchowych w powietrzu, w balonach własnego pomysłu, na które uzyskał patent, na wniosek senatora Farwella kongres w r. 1890 nareszcie wyznaczył 2,000 dol. dla doświadczeń. Następny kongres (1891) dołożył jeszcze 7,000. W ten sposób przeprowadzenie prób stało się możliwem. Podjęto je w d. 9, 18 i 26-ym sierpnia r. z. w pobliżu Midland, stacyi kolei żelaznej „Texas-Pacific“ na Llano-Estacado — na

równinie polowej. Przy doświadczeniu byli obecni gen. Robert Dyrenforth, chemik Klaudyusz Rosell, inżenier Powers i profesorowie: E. Curtis i John Ellis.

Próby czyniono na t. zw. *rancho* (pastwisko), na obszarze o 300,000 akrów, obliczonym dla 15,000 sztuk bydła. Do doświadczenia użyto 68 balonów od 10 — 12 stóp średnicy i od 525 do 940 stóp sześciennych wodoru i 20,000 tlenu, prócz tego znaczną ilość prochu oraz innych ciał wybuchowych. W odstępach półmilowych wykreślono trzy linie długości dwumilowej. Na pierwszej ustawiono znaczną ilość bateryj ziemnych, które szybko i kolejno zapalały ładunki dynamitu i prochu. Na drugiej w znacznej wysokości zawieszono także same ładunki, które zapalono w powietrzu. Na trzeciej znów możliwie najwyżej i w znacznych odstępach puszczono balony wybuchowe. Przy pierwszem doświadczeniu użyto tylko bateryj ziemnych. Wprawiono je w ruch o g. 5-ej wieczorem przez ciąg godziny, potem powtórnie przez czas krótszy o 7-ej. Powietrze było zupełnie pogodne, ale dnia następnego około południa zaczęły gromadzić się chmury nad całem *rancho*, a po południu wieczorem spadł deszcz rzęsisty, który zagłębienia preryi zamienił na kałuże. Przy drugiem doświadczeniu, już wieczorem 17 sierpnia spalono pewną ilość balonów, przyczem bateryje działały nieustannie przez godzin 12. Następnego dnia panowała jeszcze zupełna pogoda i barometr stał wysoko, ale po południu sklepienie nieba zasnuły gęste chmury i nastąpiła ulewa, która trwała $2\frac{1}{2}$ godziny i ogarnęła szeroką okolicę.

Trzeciego doświadczenia dokonano d. 25 sierpnia około południa, w czasie zupełnej pogody. Barometr stał na *very dry* i dotrzymywał towarzystwa psychrometrowi. Po niebie tułało się zaledwie kilka wełnistych obłoczków. Spalono siedem największych balonów, dwa na wysokości 1000 stóp, następnie większe — na 2000—3000 stóp. Jednocześnie grzmiały działa aż do godz. 1 po południu. Skutek był taki, że już około 3-ej nad ranem ozwały się grzmoty, a w godzinę później powstała burza, trwająca do 8-ej. Ulewa była tak silna, że rozpostarła się na setki mil kwadratowych. Nie pamiętano takiej od lat trzech. Nadto w ciągu dni szesnastu naliczono tam trzy inne burze i dziewięć deszczów mniejszych — zjawisko niesłychane w okolicy o tej porze.

Gen. Dyrenforth, który o tem wszystkiem mówi w swojem sprawozdaniu, doszedł do następujących wniosków: Wstrząśnienia, spowodowane wybuchami, potężnie wpływają na zmianę warunków atmosferycznych, wywołują zaś deszcz dlatego, że prawdopodobnie wstrząsają górne warstwy powietrza. W okolicach podlegających suszom deszcz sztuczny spada prawie bezpośrednio (w 12 sekund picowsze krople) po wybuchu.

Ile w tem jest prawdy, a ile blagi, wykażą dalsze badania naukowe. W każdym razie więcej tu jest prawdopodobieństwa, że się zanosi na nowy tryumf wiedzy i nowy podbój przez człowieka sił natury, niżeli w sławnych doświadczeniach p. Jodko-Narkiewicza, graniczących z kuglarstwem, jeżeli nie z manią. Za większą powagą i wiarogodnością odkrycia amerykańskiego przemawia ten fakt, że próby czyniono nie w pracowniach artystów i redakcyach pism brukowych, wobec dyletantów lub reporterów tylko, ale wobec techników i profesorów.

Wynalazek „sztucznego deszczu,“ jeżeli zwycięzko wyjdzie z ogniowej próby nauki i doświadczeń techniki, zrobi olbrzymi, epokowy przewrót w rolnictwie, gdyż postawi je co do niezależności od pewnych wpływów natury prawie na równi z produkcyą przetwórczą—z przemysłem. Uprawa roślin stanie się sprawą bardziej dowolną. Najdonioślejszem jednak dla zacofanych zakątków Europy jest to, że ten wynalazek poszedł już na służbę do kapitału—do „przedsiębiorstw deszczowych.“ Rolnicy amerykańscy, miażdżący gospodarczy drobiazg Europy baterya środków technicznych, spotęgują swoją przewagę na rynku zbożowym jeszcze tem, że sztuczną wilgocią podniosą wydajność ziemi i zabezpieczą się od nieurodzajów, wynikających z suszy. Sztuka wywoływania deszczu pozwoli im objąć uprawą leżące dotychczas odłogiem żyzne, lecz spalone słońcem obszary dalekiego Zachodu i zalać do szczętu naszego rolnika w powodzi ich ziarna. To też nie należy się dziwić wcale, czemu okólnik „robideszczów“ zaatlantyckich przyjęto u nas gwizdaniem i kpinami. Tak samo przed laty witały tłumy pracujące pierwsze statki parowe i lokomobile. Wartość jednak usług yanke'a prędzej ocenią rolnicy Europy zachodniej i rychlej, niż my, skosztują owoców nowego wynalazku.

Może on mieć przed sobą jeszcze świetniejszą przyszłość. Jeżeli jest tak pewnym i trwałym nabytkiem, jak niejedna zdobycz w dziedzinie elektrotechniki, np. telefony lub fonografy, to ma przed sobą otwarte pole rozwoju i ulepszeń i stanie się ważną i istotną dźwignią jednej z najdonioślejszych gałęzi produkcyi. Obecnie ujął go w swoje ręce prywatny wyzyskiwacz, ale na pewno można twierdzić, że z czasem przy wciąż wzbierającym w Ameryce i Anglii prądzie społecznym, który wychodzi z *Nationalisation League of Land*, uniesie go także ten prąd. Jako własność państwa i stosowany w uspołecznionych warunkach produkcyi — ujawni cały swój pożytek dla rodzaju ludzkiego, przynajmniej w krajach dojrzalszych *).

Zyg. Piet.

PAMIĘTNIK.

Kolonizacya żydów.

Od czasu, jak do wytworzonego sztucznie przez bar. Hirscha w Argentynie basenu zaczęły spływać ze wszech stron potoki żydów, z wielkiem zaciekawieniem wyczekiwano wiadomości o praktycznych skutkach ofiary wielkiego filantropa. I oto nadeszły pierwsze doniesienia. Główną kolonię założono o 8 godzin drogi koleją od Buenos-Ayres. Zgromadziło się tu około 1,500 rodzin, zajętych obecnie budową domów i urządzeniem siedzib. Tymczasem osadnicy utrzymywani są z funduszów publicznych, udzielanych im tytułem pożyczki. Po ukończeniu rozdziału gruntów każda rodzina (stosownie do liczby swych członków) dostanie od 25 do 75 hektarów ziemi, a każdy hektar będzie policzony w cenie 75 fr., z warunkiem umorzenia sumy w przeciągu lat 5 (czy 7?) z małym procentem. Odznaczającym się pracowitością, pilnością i akuratnością w płaceniu rat stopa procentu będzie znacznie zniżona lub całkiem niepobierana. Funt chleba pszennego i mięsa kosztuje po kop. $1\frac{1}{4}$; natomiast odzież, jako sprowadzana z Europy, jest droga. Już rozpoczęto budowę szpitala. Raz na tydzień przyjeżdża z Buenos-Ayres lekarz, dogląda zaś chorych stały felczer miejscowy. Rząd argentyński nie ustanowił w kolonii żadnej policyi — zaprowadzili ją sami żydzi, wybrawszy z pomiędzy siebie 30 byłych żołnierzy, których zaopatrzono w broń. Nowych emigrantów Hirsch nie przyjmuje, dopóki rząd nie wyda pozwolenia. Jeden z wychodźców pisze do swej rodziny:

„Ziemia tutejsza odznacza się nadzwyczajną urodzajnością, o wiele większą, niż np. w gub. kijowskiej; przy najgorszym urodzaju dziesięcina daje z górą 200 pudów pszenicy. Klimat doskonały: lato zaczyna się w listopadzie i trwa 9 miesięcy; sierpień, wrzesień i październik zaliczają się do miesięcy zimowych. Zboże zbieramy dwa razy do roku, siano zaś cztery razy. Bydła obfitość: para wołów, za które trzebaby zapłacić od 100 do 120 rubli, kosztuje tutaj na nasze pieniądze 30 rs., za krowę płacimy 10 rs., za dobrego roboczego konia 15 rs., owca kosztuje 1 rs. Ogrody wszędzie, a stąd owoce są bajecznie tanie. Za to lasów nie ma prawie wcale, skutkiem czego materyał budowlany przepłacać trzeba. Wszelkiego rodzaju towary i produkty, których potrzebujemy, są sprowadzane z Brazylii. Zakupiona przez bar. Hirscha ziemia rozdaje się na spłatę 7-letnią. Każda rodzina otrzymuje jej 47 dziesięcin z zabudowaniem, 4 owce, 2 krowy, parę koni, pług, bronę, 4 kury, 2 gęsi i po parze wszelkiego innego ptactwa domowego do rozpłodu; oprócz tego na jedną kolonię przeznacza się młocarnia razem z lokomobilą. Kolonij podobnych zamierzono urządzić kilka. W pierwszym roku osadnicy otrzymują niezbędną na zasiew i pożywienie ilość zboża. Słowem, dostaje się wszystko, co do wygodnej względnie egzystencyi jest nieodzowne. Kto chce szczerze pracować, ten śmiało może tu przyjechać, ale próżniakom, którzyby bez pracy chcieli chleb spożywać, nie radziłbym się pokazywać. Obecnie przystąpiono znów do wymierzania gruntów, co potrwa dwa miesiące. Tymczasem ci, którzy jeszcze ziemi nie otrzymali, pracują przy budowie kolei i zarabiają po rublu dziennie. Ci zaś, którzy pracy dostać nie mogą, żyją tymczasem na koszt komitetu, w przyszłości jednak zaciągnięty skutkiem tego dług będą musieli co do grosza zwrócić.“

Jak widzimy, los wychodźców daje im raj w porównaniu z niedolą, jaką znosić musieli osadnicy północno-amerykańscy lub obecnie brazylijscy. Jeżeli zaś te doniesienia są wiarogodne, to trzebaby dziwić się wielce, gdyby masy żydowskie, żyjące w nędzy i upośledzeniu, a przytem słabo zczepione ze swem otoczeniem innorodnem, nie korzystały z dobroczynności Hirscha w najszerszym zakresie. *K.*

Pomoc lekarska.

Ile narodziło się i ile po kilku dniach zmarło projektów urządzenia pomocy lekarskiej w nocy — nikt nie pamięta, a gdyby statystyka zapisywała je była skrupulatnie, miałaby dziś poważną cyfrę... śmiertelności. I oto znowu *Kuryer warsz.* dowiaduje się o nowym, dość racyonalnym. Wszyscy lekarze, którzy nie ukończyli lat 60, będą pełnili dyżury nocne w swoich mieszkaniach po dwóch na każdy cyrkuł— od godziny 8 wieczorem w zimie, a od 9-ej w lecie do 8 rano. Za poradę w domu pobierać będą rs. 2, po za domem co najmniej rs. 3. Nieotrzymujący zapłaty wynagradzany będzie z osobnego funduszu przez miasto, które od zamożniejszych ściągnie należność, a ubogim ją zmniejszy lub umorzy. Wszyscy policyanci, stojący na ulicy, będą posiadali adresy lekarzów dyżurujących. Lekarz, na którego przypadła kolej, może się zastąpić przez innego, uwiadomiwszy o tem na 24 godziny wcześniej.

Projekt ten nazwaliśmy racyonalnym, gdyż: 1) zapewnia on pomoc nocną wszystkim; 2) nie wyłącza od niej najbiedniejszych, którzy w obecnych warunkach muszą jej się stanowczo wyrzec; 3) daje zajęcie i zarobek lekarzom młodym. Nie ulega bowiem wątpliwości, że starsi, posiadający rozległą praktykę, będą nimi wyręczali się stale, naturalnie płacąc za zastępstwo. Będzie to naturalne i słuszne. Doktór, który odbył 20—30 wizyt a nie rozporządza już siłami młodości, ma prawo do odpoczynku i trudno od niego wymagać, ażeby się zdzierał w dyżurach nocnych. Co do korzyści społecznej, jest ona aż nadto widoczna. Każdy z nas doświadczył męczarni poszukiwania lekarza w nocy: ten się targuje, ten wymyśla, ten przyjść nie chce, ten przyjść obiecuje... rano. Siedzisz wtedy przy chorym z połamanemi żebrami lub oberwaną szczęką, z atakiem apoplektycznym lub dławieniem krupowem, on cierpi straszliwie lub kona — a ty liczysz minuty i godziny, które jeszcze pozostają do... rana. Czas rozciąga się w nieskończoność, rozpacz zamienia się na torturę, a nieraz chory, który mógł być uratowany wczesną pomocą, kona pozbawiony ratunku. Nie zdarza się to bogaczom, dla których tylko umarli snu sobie nie przerywają, ale spotyka ciągle ludzi niezamożnych lub biednych, którzy nie mogą zapłacić obudzonemu lekarzowi kilkanaście lub kilkadziesiąt

---

*) Naszemu jednak krajowi przydałaby się bardziej „sztuczna pogoda,“ niż „sztuczny deszcz,“ którego mamy zwykle za wiele. *Red.*

rubli za przybycie. Czy przeto utrzyma się powyższy projekt, czy inny, nocna pomoc lekarska musi być w Warszawie uorganizowana. *W.*

Jeszcze głosowanie.

Niedwuznaczny, przeciwnie, bardzo wymowny rezultat ostatniego głosowania w Towarzystwie lekarskiem stał się tematem ożywionych rozpraw towarzyskich. Mówimy: towarzyskich, gdyż prasa wolała to „zwycięztwo idei“ pokryć milczeniem. O ile mogliśmy uchwycić wspólne mianowniki różnorodnych zdań, tak mocne zabarwienie się większości członków Towarzystwa kolorem fanatyzmu nie znalazło sympatyi u ludzi rozumnych. Ze szczególnym naciskiem podnoszono ten wzgląd, że instytucya naukowa nie powinna wynaturzać się ze swego charakteru, jeżeli nie chce uledz bardzo niepożądanemu zwyrodnieniu i poprostu utracić pierwotną racyę swego bytu. Jej zadaniem jest uprawa medycyny, a nie rozcinanie kwestyj wyznaniowo-rasowych. Zresztą czemu nie pójść logicznie do najdalszych konsekwencyj i nie postawić zasady, która wytworzyła u nas dwa Towarzystwa subjektów handlowych? Będziemy przynajmniej ściśle wiedzieli, co należy rozumieć pod Towarzystwem *lekarskiem*. Oto jest jeden z poglądów godnych zaznaczenia.

Przy sposobności prostujemy błąd poprzedniej naszej notatki w tej sprawie, gdzie mylnie między przedstawiającymi kandydatów odrzuconych wymieniono nazwisko dr. Sokołowskiego, natomiast opuszczono dr. Dunina.

Echo smutku.

Jakiś prenumerator *Ziarna*, nie mogąc widocznie ukoić innym sposobem smutku, jaki go trapił od czasu wyborów w Towarzystwie kredytowem miejskiem, ulżył swemu sercu rzewną skargą w tym tygodniku. Chodzi mu mianowicie o to, że jakkolwiek powołany do dyrekcyi p. A. Czajewicz jest „pożytecznym i zdolnym pracownikiem,“ posiadającym „wiedzę fachową,“ jednakże Towarzystwu przydałby się bardziej do reprezentacyi „zewnętrznej“ inny kandydat, niewybrany, człowiek „o wielkiem mieniu i świetnem nazwisku.“ Rozumiemy! Ale pojmując ten smutek, należy prenumeratorowi *Ziarna* wyjaśnić to, czego nie wie lub zapomniał. Towarzystwo kredytowe miejskie nie jest wystawą „świetnych imion“ i klubem „wyższego świata,“ wymagającym „dobrej reprezentacyi,“ lecz bankiem, który powinien być zarządzany umiejętnie, „wypróbowanemi zdolnościami“ i „fachową wiedzą,“ chociażby te przymioty kryły się w dziurawych surdutach i pod nazwiskami najzwyklejszego brzmienia. Jeśli panowie, posiadający dobre chęci, „dopełnione imieniem i mieniem,“ pragną koniecznie „reprezentować na zewnątrz,“ znajdą sobie dla tej roli inne pole i nie potrzebują zagarniać tego, gdzie ludziom biednym zabierają kilka tysięcy rubli rocznie. Stowarzyszeni właściciele domów, których interes jest w tej sprawie rozstrzygający, bardzo mało ważą sobie to, czy dyrektorem ich instytucyi będzie ktoś ze „świetnem“ nazwiskiem, czy z ciemnem, aby to był człowiek zdolny, pracowity i uczciwy. A jeżeli nawet zdarzy się czasem konieczność „reprezentacyi,“ z pewnością w łonie zarządu nie zbraknie odpowiedniego aktora. *O.*

Oleodruki.

Towarzystwa sztuk pięknych powinnyby raz zastanowić się nad tem, jaki cel i przeznaczenie nadają swym premiom. Zwykle są to oleodruki. Każdy człowiek z lepszym gustem, odebrawszy taką mazaninę, albo ją rzuci w kąt, albo komuś daruje, albo wreszcie zawiesi w przedpokoju. Skoro zaś nie są to przedmioty artystyczne, skoro nie służą do ozdoby mieszkań i nie kształcą smaku artystycznego, po co je rozszerzać a nadewszystko — po co na nie pieniądze wydawać? Czy nie lepiej byłoby za tę cenę pomnożyć ilość obrazów przeznaczonych do rozlosowania, albo też dawać członkom rzeczy drobne — fotografie, sztychy, heliograwiury itp. — posiadające przynajmniej jakąś wartość? Pytania te nastręczają się znowu z powodu premium krakowskiego Towarzystwa sztuk pięknych. Kto zawiesi ten oleodruk („Niedziela zielna“ Pruszkowskiego) w swoim pokoju? Radzibyśmy widzieć takiego amatora. Dla kmiecia, wogóle dla ludu — jest to obrazek odpowiedni i lepszy, niż bohomazy jarmarczne; wątpimy jednak, ażeby Towarzystwo tę sferę społeczną miało na względzie w swych premiach. Trzeba tedy zejść z udeptywanej od lat kilkunastu drogi i wstąpić na inną, na której możnaby osiągnąć coś więcej, niż bezcelowe i bezużyteczne marnowanie składek członków. *M.*

Kandydaci do posad sądowych.

W losie jednej z nieszczęśliwszych grup ludzkich — kandydatów do posad sądowych — zaszła ważna zmiana. Jak wiadomo, młody prawnik, który nie chciał wejść na linię obrończą, przyczepiał się do jakiegoś sądu, gdzie nieraz przez długi szereg lat pracował ciężko a bezpłatnie, przytem bez żadnej nadziei otrzymania kiedyś urzędu. Mała tylko cząstka wytrzymywała tę próbę; większość odchodziła do rozmaitych biur i zajęć prywatnych, zarzucając zupełnie pracę, do której przygotowywali się studyami uniwersyteckiemi. Otóż świeże rozporządzenie zmienia ten stan rzeczy o tyle, że wcześniej rozstrzyga niepewność. Sędziami śledczymi mogą być kandydaci do posad sądowych, którzy ukończyli 25 lat. życia. Dzielą się oni na starszych i młodszych. Starsi posiadać będą następujące prawa i przywileje: pomocnika sekretarza sądu okręgowego, a młodszym pomocnika zjazdu sędziów pokoju. Tytuł kandydata starszego przypadnie tym, którzy służyli co najmniej półtora roku i którzy są dostatecznie przygotowani. Ci, którzy będąc przez dwa lata kadydatami młodszymi, nie otrzymają świadectwa, będą usunięci. Za pełnienie służby przy sądzie starsi otrzymywać będą wynagrodzenie rządowe. Będą oni przeznaczeni do pełnienia obowiązków sędziów śledczych i sędziów miejskich, a także mogą pełnić obowiązki towarzyszów prokuratora. Po przebyciu praktyki co najmniej przez półtora roku, mogą prosić o świadectwo ukończenia praktyki i być przedstawiani na urząd sędziów śledczych, towarzyszów prokuratora i sędziów miejskich. Z dniem 13-ym stycznia 1892-go roku przeznaczono dla starszych kandydatów, prócz okręgu sądowego tyfliskiego, 180 posad z pensyą po 600 rs. rocznie; celem zaś równoczesnego rozdania zasiłków kandydatom w wysokości nie wyżej nad rs. 400 rocznie, przeznaczony będzie corocznie specyalny fundusz w wysokości rs. 30.000.

Chociażby ta zmiana zapobiegała tylko złudnym nadziejom, zapewni interesowanym wielką korzyść, powstrzymując ich od marnowania wielu lat życia na daremne wyczekiwanie.

Nowy narkotyk „Maćka.“

Jeżeli nie „dusza chłopska,“ snująca podobno odrębną cywilizacyę, to ciało kmiece wiele ma wspólnego z mieszczańsko-szlacheckiem, skoro Maciek, tak samo jak przedstawiciel innych warstw społecznych zdolny jest urozmaicać swoje narkotyki. Ziemianin z obywatelem naszych miast upajają się: wódką, koniakiem, winem, piwem, kawą i morfiną, a on rozwesela umysł: okowitą, hojnie szafowaną przez propinatorów różnoplemiennych, piwem, a teraz w lubelskiem dorwał się — jak już donosiliśmy dawniej — do *anodyny*. Rozwinęła się tam szczególna odmiana niby-morfinizmu kmiecego.

Jednego biesa, okowitę, szczęśliwie zażegnano; zahukać się tylko nie dała biedna natura organizmu ludzkiego, zawsze, spragniona trunków upajających. Wylazła ona, jak szydło z worka, znowu, ale pod inną postacią zaspokojenia. Znaleźli się przedsiębiorcy, którzy, korzystając z wygnania wódki i ciemnoty ludu, podsunęli mu daleko zgubniejszy dla zdrowia narkotyk — t. zw. anodyny. Upowszechnił się on tem szybciej, że jest nierównie tańszy i, mając postać lekarstwa, nie ściąga na spożywcę — uwłaczającego mu zarzutu pijaństwa. Ale rada lekarska w Lublinie zaznaczyła, że użycie anodyn jest zabójcze dla organizmu, gdyż składają się one: ze zwyczajnego eteru siarczanego z niewielką domieszką spirytusu, mają w wysokim stopniu własność upajającą, osoby zaś ich używające rychło nabywają takiego nałogu, jak zwolennicy morfiny wystawiają zdrowie na niebezpieczeństwo. Już przy małej dawce tego trunku ujawniają się: odurzenie, podniecenie, lekka czkawka, ociężałość członków, *brak chęci i niezdolność do pracy*, senność. Po przebudzeniu objawy te nikną, ale pozostaje nieprzeparta chęć powtórnego użycia. Anodyniści przeto upijają się po kilka razy dziennie. Trzeźwa myśl, wytężona praca, dzielność i wytrwałość pierzchają, następuje rozstrój organizmu, zdenerwowanie, zaatakowanie narządów oddechania i trawienia, serca, wątroby. Anodynistę czuć eterem.

Lubelska rada lekarska usiłując położyć kres temu nowemu nałogowi, zaliczała eter siarczany do środków silnie działających i trujących, i w myśl art. 881—885 ustawy lekarskiej, poparta przez władze, zaleciła aptekarzom całej gubernii anodyny i eter traktować na równi z innemi truciznami. Aptekarze na własną rękę nie prowadzili wyszynku anodyny, a chłop patrzy na aptekę z niedowierzaniem, sprzedając jednak eter ludziom zarobkującym na zdrowiu i życiu nałogowców, pośrednio popierali zło. Zakaz więc obecny jest celowym i usunąć je może przynajmniej w tej formie. *Z. A.*

Mieszkania stróżów.

Badania stosunków zdrowotno-mieszkaniowych w Warszawie, podjęte w r. 1891 przez Urząd lekarski, rzuciły między innemi światło na stan mieszkań stróżów kamienicznych u nas, tych prawdziwych, nie jak reporterzy *kuryerów* zwą „rycerzy miotły, lecz paryasów społeczeństwa. Oto obraz, który się odsłonił:

Opisano wogóle 3,716 ich mieszkań. Liczba ta jest mniejsza od liczby znajdujących się w Warszawie domów, co, pomijając niedokładności nieuniknione przy dociekaniach statystycznych, pochodzi stąd, że w naszem mieście nie wszystkie domy mają oddzielne i specyalne pomieszczenia dla stróżów, a nadto, na krańcach miasta stróżów niema wcale, zastępują ich sami właściciele. Z powyższej liczby mieszkań 77,6% znajduje się nad poziomem ulicy, reszta — w suterenach. Klasyfikując te mieszkania wogóle według liczby izb, dowiadujemy się, że w Warszawie jest lokalów tego rodzaju z jedną izbą 93,7%, z dwiema — 1,9%, z izbą mieszkalną i kuchnią — 3,3%, z niewiadomą liczbą izb — 1,1%. Według zaś ilości okien pomieszczenia stróżów dzielą się w sposób następujący: Z 1 oknem jest 2,908 (78,3%), z 2-ma — 539 (14,5%), z 3-ma 75 (2,0%), bez okien — 140 (3,8%), Lokali zwróconych oknami na północ jest 799. A więc 21,6% ich nigdy nie otrzymują bezpośrednio promieni słonecznych.

Co do sposobu ogrzewania tych mieszkań, w lokalach stróżów można spotkać wszelkie systemy — od piecyka żelaznego aż do kuchni angielskiej. Z ogólnej liczby mia: zwyczajny piec kuchenny (cyganek) 81,2%, piec hermetyczny — 1,6%, przenośny żelazny — 7,9%, zwyczajny kuchenny i zarazem żelazny — 4,3%, zwyczajny kuchenny i hermetyczny — 1,3%. Nadto znaleziono 68 (1,8%) lokali, całkiem bez pieców stałych.

Co do wymiarów, to prawie połowa ma przestrzeń, zawierającą się w granicach od 5—10 metrów kwadratowych. Średnia ich objętość wynosi 27,5 metrów sześciennych. Jeżeli zaś podzielimy je na 3 grupy, jednę o 10 metrów sześc., drugą o 10—30 i trzecią o objętości powyżej 30, to się okaże, iż lokali stróżów z objętością do 10 m. sz. jest 227 (czyli 6,1%), od 10—30 m. sz. — 2.186 (64%), powyżej 30 m. sz. — 1120 (30,1%).

Ludność mieszkań stróżów w Warszawie wynosi ogółem 14,239; a więc na 100 lokali przypada 390 mieszkańców, czyli na 1 prawie 4. Ponieważ wszakże w połowie tych lokali powierzchnia nie przekracza 10 m. kw., zatem w owych pomieszczeniach na jednego mieszkańca bez różnicy wieku przypada około 2,5 m. kw. powierzchni podłogi. Z tej przeciętnej cyfry widać, że w wielu lokalach stróżów ludzie żyjący mają mniej przestrzeni, niżeli umarli na cmentarzach, gdzie im prawo zapewnia 4 metry kwadratowe ziemi na jeden grób.

Następująca tablica daje wyobrażenie o gęstości zaludnienia warszawskich mieszkań stróżów:

Powierzchnia na 1 mieszk.	*liczba mieszkań*
mniej niż 1 m. kw.	36
od 1— 2	743
2— 3	764
3— 4	501
4— 5	363
5—10	395
10—20	70
20—30	5
30—40	1
40—50	2

Przypuściwszy, że 5 m. kw. wystarcza dla jednej osoby, to takich lokalów znaleźć można w Warszawie 500 czyli 15,98%, pozostało zaś 84,02% są za ciasne dla zamieszkujących je ludzi.

Szczupłości powierzchni mieszkań stróżów odpowiada ich objętość, z pomiędzy 3,716 mieszkań takich w 2,603 przypada mniej niż 10 m. sz. powietrza na osobę, czyli mniej od minimum niezbędnego dla zdrowia, dopuszczanego pod warunkiem prawidłowej i starannej wentylacyi. Lokali stróżów z objętością mniejszą od 20 m. sz. na osobę znaleziono u nas 3,320 czyli 89,3% ogólnej liczby, z objętością zaś większą od 20 m. sz. — tylko 206, czyli 5,5%.

Okazuje się więc, że prawie 90% ogólnej liczby tych lokali są zaludnione tak gęsto, że zdrowie ich mieszkańców wystawione jest na najfatalniejsze wpływy, że wilgoć, zimno i bezsłoneczność, które tam panują, zmieniają je na gniazda wszelkich laseczników, mających obfity żer na miejscu i rozpościerających się w postaci tyfusu, błonicy i gruźlicy po całem mieście, nawet tam, gdzie jest siedlisko wytwornej i zamożnej ludności. To też naturalnem i pożądanem jest energiczne postanowienie usunięcia obecnych mieszkań stróżów wzamian na zdrowotniejsze. *Z.*

Bezpieczeństwo publiczne na kolejach.

Organ kolejowy *Żelezno-dorożnoje dieło*, podaje ciekawą statystykę wypadków na 11 kolejach ruskich i zagranicznych. Na jednej z ruskich, zajmujących pośrednie miejsce pod względem liczby wypadków, wykolejeń było na linii 2, na stacyi — 54; zetknięć na linii 2, na stacyach 7; rozmaitych innych wypadków na linii 117, na stacyach 96. Ogólna liczba wypadków w pięcioletnim okresie istnienia doszła do 278. W 40 wypadkach przyczyną wykolejenia były rozmaite nieporządki, w 57 okoliczności od służby niezależne, w 8 przyczyny niewiadome. Nieporządki także spowodowały 9 spotkań pociągów. Z innych wypadków 145 zaszło skutkiem długiego szeregu wszelkich nieporządków i naruszeń przepisów o eksploatacyi kolei. W charakterze obwinionych pociągano do odpowiedzialności: 21 maszynistów, 19 zwrotniczych, 20 spinaczy pociągów, 13 wagenmajstrów, 9 konduktorów, 5 robotników, 4 stróży, 2 ogrzewaczy wagonów, 1 dróżnika. Ukarano 82 oskarżonych. Organ kolejowy szuka przyczyn tak smutnego stanu bezpieczeństwa w małem wynagrodzeniu drobnych, ale ważnych pracowników. Złożona, trudna i wielce odpowiedzialna ich służba wymaga pewnego stopnia oświaty; dobór jednak służby z tym warunkiem jest niemożliwy przy lichem wynagrodzeniu. „Wobec stosunkowo niepomyślnych warunków pracy tego rodzaju oficyalistów, tudzież wobec nieulegającego wątpliwości zaniku fachowej użyteczności służby, potrzeba reform staje się coraz bardziej oczywistą i konieczną. Arsenał środków karnych doprowadzono na wszystkich kolejach do zupełnego już wyczerpania pomysłów nowych i każde zwiększenie reform w formie zamiany grzywny na uwolnienie ze służby nietylko nie przyniesie żadnej korzyści, ale spowoduje jeszcze stopniowo wymianę mało uzdolnionych lecz praktycznie z robotą obeznanych pracowników na tak samo nieuzdolnionych, a w dodatku jeszcze pozbawionych nawet zwykłej wprawy.“

SPRAWY EKONOMICZNE.

NOWA INSTYTUCYA ZACHOWAWCZA.

Rozwój skrajnych prądów społecznych wywołał w Austryi i Niemczech chęć wynalezienia hamulców i instytucyj, które złagodziłyby antagonizm pomiędzy przedstawicielami pracy i kapitału, powstrzymałyby wzrost nienawiści klasowej, a tem samem nie dopuściłyby do dalszych następstw, pochodzących z waśni pomiędzy pojedynczemi grupami społeczeństwa. Otóż praktyka lat ostatnich wykazała, że taką tamą jest urządzenie, znane w różnych okolicach Niemiec pod najrozmaitszemi nazwami: „kolegium starszych,“ „rady fabrycznej,“ ostatnimi zaś czasy słynące coraz częściej pod mianem technicznem: „Arbeiterausschus,“ pod którem wkroczyło do uchwał prawodawczych. Sprawą tych „wydziałów roboczych“ zachowawcy społeczni w Niemczech i Austryi zajmują się dzisiaj nader gorliwie. Również profesorowie uniwersyteccy, których ktoś nazwał sztabem społeczno-państwowych reformatorów w Niemczech, zajmują się analizą tych urządzeń, zbadaniem wpływów i skutków. Z pośród wielu prac w tym zakresie wymienimy przedewszystkiem dzieło prof. Seringa *).

Zobaczmy naprzód, czem są i jak wyglądają te warownie zachowawczości. Bierzemy jeden zakład fabryczny w Gladbachu. Tak zwane „kolegium starszych“ składa się z 12 członków: 4 wychodzi z ramienia firmy, 8 zaś wybiera ogół pracujących. Powołany do kolegium winien mieć co najmniej 24 lat wieku i być od lat dwu członkiem kasy miejscowej dla chorych. Kolegium zarządza wspomnianą kasą oraz dwiema jeszcze innemi w fabryce i bibliotekę. Rozporządzenia jego tylko wtedy posiadają moc obowiązującą, kiedy podpisze je właściciel zakładu. Kolegium zajmuje się takiemi sprawami, jak ustawa fabryczna, godziny dodatkowe pracy, robota w święta; we wszystkich tych wypadkach posiadacz zwraca się do wydziału i układa się z nim jako przedstawicielem personelu co do zamierzonych zmian. Dalej kolegium rozpoznaje wszelkie zajścia w życiu wewnętrznem fabryki. Weźmy kilka przykładów dla uprzytomnienia sobie tej roli. Dozorca czynił wielokrotnie wymówki pewnemu pracującemu z powodu złej roboty; wtedy ten ostatni zwrócił się do wydziału z prośbą o rozpatrzenie sprawy. Okazało się w toku śledztwa, że robotnik istotnie był niewinny, gdyż dawano mu zły materyał. W ten sposób zajście, które w innym przypadku byłoby źródłem nienawiści i żalu klasowego, zostało załatwione na drodze pokojowej. Zdarzyło się bowiem, że w innych zakładach wydalano człowieka z tego właśnie powodu. Często bywa, że gdy w fabryce jest jakaś robota, przedsiębiorca, zamiast dozorcom, oddaje ją owemu kolegium do podziału pomiędzy personel fabryczny; podział ów staje się wtedy sprawą domową samych robotników, zarząd zaś w ten sposób znowu usuwa możliwość wielkich zajść i zatargów pomiędzy sobą a najemnikami. Przedsiębiorca zachował sobie, jako wyłącznie swoje prawo, wyznaczanie takiej lub innej płacy za robotę, ale znowu kolegium w imieniu personelu wskazuje mu, w jakich terminach najdogodniej byłoby dla najemników otrzymywać wynagrodzenie. Podobnie wydział rozpatruje skargi na złe lub niebezpieczne funkcyonowanie maszyn, na niedbałość ze strony majstrów lub niesprawiedliwość przy podziale robót; baczy nad utrzymaniem przepisów hygienicznych, zwraca uwagę na moralność i prowadzenie się uczniów nietylko wewnątrz zakładu, lecz i w życiu prywatnem, przyucza ich do oszczędności i pracowitości. Kolegium starszych posiada prawo do nakładania kar (do określonej zresztą wysokości) za przewinienia. Słowem, spełnia ono mnóstwo czynności, wyręczając przedsiębiorcę. Ktoś nazwał je wydziałem policyjnym z wyboru, a określenie to dobrze wyraża najgłówniejsze czynności tej instytucyi.

Albo przypatrzmy się olbrzymiemu zakładowi w pobliżu Wiednia, wyrabiającemu wagony (Simmering). „Komitet roboczy“ wychodzi tutaj podobnie jak wszędzie z wyborów. Nazwiska jego członków wypisane na tablicy wiszą we wrotach zakładu, aby każdy z pracujących wiedział, gdzie ma szukać obrony przeciwko jakiejś doznanej krzywdzie. Tylko za jego wiedzą i zgodą uczniowie bywają przyjmowani do fabryki; podobnie gdy ktoś zawinił i został wydalony, sprawą tą zajmuje się komitet. Wreszcie jeśli np. z braku zamówień firma jest zmuszona zmniejszyć rozmiary produkcyi i ograniczyć liczbę najemników, wydział ów zawyrokuje, którzy mają być odprawieni. Zbiera się on stale co miesiąc, a nadto towarzyszy rewizyi hygienicznej, odbywającej się w zakładzie dwa razy do roku.

Wszędzie komitety tego rodzaju stają się jednocześnie instytucyą, pilnującą obyczajności wśród warstwy pracującej — nawet po za murami zakładu. Powstrzymują one pijaństwo i rozwiozłe obyczaje, łamią hardość i gburowatość klasową, kontrolują sprawowanie się młodzieży, zachęcają do oszczędności i pracowitości, baczą nad czystością i porządkiem w mieszkaniach robotniczych, wyrabiają poczucie obowiązku i honoru względem podjętych czynności. Komitet, wychodząc z pośród robotników i pilnując ich interesu w drobnych sprawach życia codziennego, posiada sympatyę i ufność; z drugiej strony, obcując od czasu do czasu z przedstawicielami firmy, przekonywając ich i będąc przez nich przekonywany, wtajemniczając się w sprawy zakulisowe zakładu, nabiera odpowiedniego współczucia dla kierowników fabryki a następnie przelewa je w szersze koła najętego personelu. „Siedząc obok siebie przy kufelku piwa (mówi jeden fabrykant), pozbywamy się wzajemnej nieufności, uczymy się wzajemnie szanować, a nadto ja ze swej strony otrzymałem nieraz nader ważne, a cenne wskazówki zaprowadzenia tych lub innych zmian i ulepszeń.“ Kapitał i praca przestają zatem stać wobec siebie jako dwa wrogie a nieprzejednane obozy, zapominają o odrębności klasowej i przebaczają we wzajemnem porozumieniu się doznane krzywdy. Prof. Sering przytacza, iż dzięki tego rodzaju instytucyi personel fabryczny w pewnym zakładzie na Szląsku, odznaczający się silną skłonnością ku skrajnym dążnościom z r. 1848, został zupełnie wyleczony ze swego radykalizmu. Inny znowu zakład austryacki w swem sprawozdaniu odzywa

*) *Arbeiter Ausschüsse.*

się tak: „Polecamy powoływanie tych urządzeń do życia; przypisujemy im bardzo wielkie posłannictwo wychowawcze, doświadczenie bowiem, zyskane dotychczas przez nas, świadczy nader przychylnie o tego rodzaju komitetach, i to bez względu na to, że nasz składał się z żywiołów niegdyś krańcowych.“ To też komitety robocze w Niemczech są zawiązywane na znaczną skalę — coraz większą w miarę tego, jak wzrastają grupy opozycyjne w społeczeństwie.

Instytucye te powstały wszędzie z pobudki prywatnej. Otóż ekonomiści, którzy usiłują wcielić je w życie, po większej części są za utrzymaniem tego charakteru prywatnego. Inni zgadzają się również na to i uznają całą korzyść charakteru prywatnego, lecz jednocześnie zaznaczają, że liczba komitetów roboczych takiej natury nie może być znaczną, innemi słowy, że nie zdołają wywrzeć one żadnego donioślejszego wpływu na społeczeństwo. Oświadczają się też oni za uznaną przez państwo i wymaganą obowiązkowością komitetu roboczego w każdej fabryce. W Austryi np. pomimo całej agitacyi założono je zaledwie w 6 fabrykach. Otóż świeżo rząd austryacki uległ tym nawoływaniom i wszedł na odpowiednią drogę. Zgodnie z zapowiedziami przy otwarciu sejmu przedlitawskiego w roku zeszłym, wypracowano projekt wytworzenia instytucyj, „ułatwiających pokojowo porozumienie się pomiędzy pracodawcami a najemnikami.“ Są to właśnie owe komitety, o których mówiliśmy, a paragraf pierwszy wygotowywanej ustawy głosi, że winny one istnieć obowiązkowo w każdym zakładzie, zatrudniającym więcej, niż 20 osób w tem samem miejscu, a opartym na podziale pracy pomiędzy niemi. Instytucya ta, według projektu rządowego, winna przyjmować skargi, napływające od zatrudnionego personelu co do wypłacania zarobków i urządzenia warunków pracy, oraz troszczyć się o usuwanie niezgody pomiędzy obu stronami — kapitałem a pracą. Następnie będzie ona pomocniczką inspektoratu fabrycznego i dozorczynią ustawy, hygieny i bezpieczeństwa, winna też być zapytywana o radę przy wyznaczaniu kar, wreszcie sterować urządzeniami humanitarnemi, istniejącemi przy zakładzie.

Podaliśmy zarys instytucyi, o której tak dzisiaj głośno i wiele mówi się w Niemczech i Austryi, oraz określiliśmy pokładane w niej nadzieje. Niektórzy chcą ją przyrównywać do sądów rozjemczych pomiędzy kapitałem a pracą w Anglii. Jest to błąd wielki. Komitety rozjemcze i polubowne wychodzą tam z wyboru nie pojedynczej fabryki, lecz całego miejscowego tradesunionu (tj. związku zawodowego) i już dzięki temu noszą zgoła odmienny charakter, a nadto są urządzeniem bez czynności policyjno-obyczajowych, lecz jedynie polubowno-sądowem. Następnie winniśmy zaznaczyć, iż nadzieje przywiązywane do komitetów roboczych są nazbyt przesadzone. Komitet może działać w wyznaczonym kierunku gdzieś na pustkowiu, gdzie walka kapitału z pracą nie zaostrzyła się bardzo, lecz jednocześnie przedsiębiorca w takiem miejscu nie potrzebuje go. Gdzie zaś dzieje się przeciwnie, tam komitet wkrótce znajdzie się w ten lub inny sposób pod wpływem odpowiedniego związku zawodowego i lubo będzie usuwał drobne zajścia w zakładzie, nie spełni jednak tak ważnej dla kapitału roli, jak zadania policyi obyczajowej; jeśli zaś nie ulegnie tym wpływom i będzie postępował stosownie do wyznaczonej mu roli, wtedy przeciwstawi się ogółowi pracującemu i zamieni się na narzędzie pracodawcy. Z zachowawczego punktu widzenia ważniejszą tamą jest „polityka pozytywno-społeczna,“ którą swego czasu snuł Bismark. Gdyby go zapytano o wartość komitetów, nie ulega wątpliwości, iż odpowiedziałby z właściwą sobie wyrazistością, że są to bańki mydlane. *K. R. Ż.*

PRZEMYSŁ I HANDEL.

Handel zbożowy w Warszawie. W ostatnim numerze organu ministerym skarbu (*Wiestnik finansów*) znajduje się artykuł poświęcony organizacyi rynku zbożowego w Warszawie. Jest on streszczeniem wyników badań, dokonanych jeszcze w końcu zeszłego lata przez p. Kozłowskiego, jednego z urzędników, których ministeryum delegowało dla zebrania danych do przepisów, mających uregulować handel zbożowy w państwie.

Z pracy p. K. okazuje się, że warunki tego handlu w Warszawie są w stanie opłakanym, że ustrój naszego rynku jest raczej okazem zupełnego rozstroju i anarchii. Miasto nasze nie ma ani giełdy zbożowej, ani maklerów specyalnych: cały handel ziarnem skupia się w dwóch punktach — na Pradze około magazynów tranzytowych kolei Terespolskiej i w pobliżu stacyi drogi Wiedeńskiej, na t. zw. placu Witkowskiego. Na pierwszym sprzedawane jest zboże dostawiane z okolic Warszawy, nabywane niemal wyłącznie przez właścicieli wiatraków okolicznych i przez dostawców wojskowych.

Klasyfikacya ziarna znajduje się w stanie pierwotnym i gatunek jego jest określany na oko. Wagi o stałej normie także nasz rynek nie ma. W magazynach na Pradze zboże kupuje się na pudy, na placu Witkowskiego — na korce. Skutkiem nieprawidłowego sortownictwa częstokroć w braku wyższych gatunków ziarna uchodzi za „wyborowy“ taki, który w innym razie (przy dostatku dobrego) należy do „średnich.“ Notowanie cen także pozostawia do życzenia: nie jest ono urzędowe. Będąc zaś zazwyczaj opierane na podstawie zawieranych umów, nie jest dokładne i ścisłe, ponieważ domy handlowe niechętnie udzielają wiadomości o cenach, bo prawdziwość ich szkodzi widokom spekulacyjnym, które lubują się we mgle i mroku... To też i ceny podawane codzień w pismach naszych grzeszą niewiarogodnością. Ta wada jest tem większej wagi, że mocno dotyka interesy ogółu spożywców, gdyż stwarzając bardzo chwiejną podstawę dla cen chleba, utrudnia ich regulacyę, czyni je niepochwytnemi dla słusznej taksy. W cieniu, roztoczonym przez tajemniczość kupców, lęgną się nieprawe zyski piekarzy, a spożywca je opłaca w prostocie ducha.

Ale bezrząd ten daje się we znaki i kupcom. Brak maklerów zbożowych pociąga za sobą to, że zawierane na rynkach tranzakcye nie mają mocy prawnej. Dzieje się więc często tak, że, jeżeli pomiędzy datą zawarcia umowy a datą dostawy do młyna cena zboża podskoczy, to nabywca przyjmuje ziarno, nie sprawdzając ściśle jego gatunku, a często bywa, że *sprzedawca* nie odstawia zboża; jeżeli zaś cena spadnie, *nabywca* usiłuje we wszelki możliwy sposób zboża nie przyjąć, zasłaniając się tem, że ono jest gorsze, niżeli to, które było przedmiotem umowy.

Tę samą wadliwość organizacyi handlu zbożowego w Warszawie podziela także i handel spirytusem. Tak samo umowy względem tego wytworu zawierane są bez udziału maklerów przysięgłych: przetwórcy surowego wyskoku, dostarczanego z gorzelni prowincyonalnych, kontraktują towar na podstawie cen notowanych w dziennikach warszawskich, tyleż wiarogodnych, co i zbożowe.

P. Kozłowski słuszną robi uwagę, że obecny ustrój warszawskiego rynku zbożowego wyrządza wielką szkodę kupcom w ich stosunkach z zagranicą. Skutkiem braku stałej i prawidłowej klasyfikacyi zboża, wysyłają oni tam często pod nazwą „wyborowego“ ziarno niższych gatunków, przez co podkopują zaufanie do siebie.

Tak dotkliwy dla spożywców, przetwórców i kupców chaos autor zaleca zwalczać: otwarciem u nas giełdy zbożowo-spirytusowej, ustanowieniem maklerów przysięgłych i urzędowem notowaniem cen. Zalecając zaś te środki wyższej techniki rynkowej, spodziewa się, że kupcy nasi w interesie własnym okażą pomoc. Pożądanem byłoby wiedzieć, co im stanęło na zawadzie uczynić to dawniej? Jeżeli nic takiego, coby przechodziło ich siły lub zrządzało ujmę interesowi, to chyba tylko wrodzone niedbalstwo, niepojętność albo wstręt do światła dziennego i głęboko zakorzenione zamiłowanie w zmierzchach... Bo jeśli o wzory idzie, to przecie mieli nieraz sposobność przyglądać się im w Berlinie, Gdańsku, Wrocławiu itd. Należało tylko porwać nić tradycyj Kiernozich lub Pacanowów—i naśladować... *P.*

Z Dąbrowy Górniczej. W Towarzystwie francusko-włoskiem kopalni węgla kamiennego w ostatnich czasach zaszły znaczne zmiany. Dyrektor naczelny, Tibaudet, zakończył nagle życie, jego zaś stanowisko zajmuje dotychczasowy wicedyrektor, p. Ribeyron. Z powodu, iż w obrębie posiadłości Towarzystwa węgiel jest najlepszego gatunku, będą wkrótce wybudowane wielkie piece do koksowania tego produktu z własnych kopalń dostarczanego. Przyniesie to kapitalistom stowarzyszonym olbrzymie zyski wobec wielkich zapotrzebowań koksu przez miejscowe i okoliczne zakłady i huty żelazne, sprowadzające dotąd koks ze Szlązka. Bawiący obecnie w Dąbrowie dyrektor Towarzystwa, p. Skibiński, jak zapewnia *Kuryer warsz.*, zajęty jest wspólnie z zawiadowcami kopalń i hut cynkowych przygotowaniem projektów melioracyi zakładów i kopalń miejscowych.

Z rynku.

Ceny bieżące. Piotrków, 12 stycznia. Korzec żyta ceniono 8 rs., pszenicy 8,50, jęczmienia 5,25, gryki 6, grochu 9, owsa 3.50, kartofli 3. Pud zwyczajnej mąki żytniej krsztował rs. 2,20, pszennej tyleż. Garniec kaszy jęczmiennej kop. 30, gryczanej 36. Funt chleba pytlowego 4 1/2 k., razowego 3, pszennego 5. Kwarta masła 80 kop., funt wołowiny 12, cielęciny 9, wieprzowiny 12, słoniny 18. Równolegle z cenami tych artykułów spożywczych ceny pracy były następujące: pieszemu najemnikowi dziennie płacono 30 k., z wozem jednokonnym o 15 pudach ciężaru 1,30. z wozem dwukonnym o ładunku 25-pudowym — rs. 2. Korespondent *Kur. warsz.* zaznacza, że ceny wszystkich produktów spożywczych podniosły się, gdy wynagrodzenie najegrodzenie najemnika spadło.

— Niedawno w Piotrkowie rząd gubernialny zatwierdził taksę na pieczywo. Ceny przez niego określone są następujące: funt chleba pytlowego 4 1/2 k., razowego 3, funt bułki 1-go gatunku (montowej) k. 12, 2-go gatunku — 5 i t. zw. „gryzki“ kop. 3. Taksa ta ma obowiązywać aż do chwili możliwej zwyżki cen zboża. Ważne to jest z tego względu, że piekarzom i sklepikarzom nałożono cugle, które ich powściągać mają od zbytnich harców po karkach spożywców, ale też jest urzędowem stwierdzeniem postępujących objawów nieurodzaju.

— Kielce. *Gazeta kielecka* donosi, że nieurodzaj kartofli daje się już dotkliwie uczuwać tamecznemu gorzelnictwu. Rozporządzalny w tej gałęzi przemysłu zapas ziemniaków nietylko dosięga zaledwie trzeciej części zwykłej normy, ale i jakość ich pozostawia wiele do życzenia. Ceny więc okowity w kieleckiem trzymają się wysoko: w okręgu miechowskim są wyższe, niż w Warszawie i tylko w okręgu pińczowskim i kieleckim, zwłaszcza w gorzelniach w pobliżu samych Kielc, są stosunkowo niskie, gdyż panuje tam zmowa pomiędzy składnikami-żydami, którzy usiłują wykupić tanio spirytus ze wszystkich gorzelni, żeby następnie nakładać dowolne ceny. Spirytus kartoflany może zaspokoić zaledwie połowę potrzeb gubernii, ale spekulanci rachują na to, że ziemniaki zastąpi kukurydza.

— Warszawa, 19, 20 i 21 stycznia. Spółka tutejszych przemysłowców i kapitalistów zakupiła znaczne obszary lasów, żeby prowadzić handel budulcem z Królestwem i zagranicą.

— Na rynki tutejsze, a szczególnie staromiejskie, włościanie okoliczni, zwożą na sprzedaż spore ilości chleba razowego.

— W magazynach tranzytowych (Praga) z d. 18 stycznia pozostało w zapasie 1,073 wagonów wytworów

roślinnych. Dążność cen zniżkowa. Za żyto wyborowe osiągano 1,32 do 1,33, za średnie 1,30 do 1,31, za pospolite 1,26 do 1,29.

— Na plac Witkowskiego dowóz żyta był bardzo słaby. Kupcom było „niewyraźnie.“ Za wyborowe (korzec) brali oni 7,50 do 7,65, gorszem gardzono.

Zwrócić należy uwagę na znaczną różnicę — *pół rubla* za korzec!—ceny żyta w Warszawie a Piotrkowie...

Rynek pieniężny. Berlin, 20 stycznia, Rynek rubli i wartości ruskich miał nastrój mocniejszy i wykazywał drobne korzyści. Ruble w tranzakcyach końcomiesięcznych stały 199 za 100 m., w chwili zaś urzędowego zamknięcia obrad giełdowych — 199,50. Według pryw. tel. *Kur. warsz.*, w d. 20 stycznia w gotówce ceniono je 200, a na dostawę 199.50 za 100 m.

DONIESIENIA URZĘDOWE.

Budżet skarbu państwa na r. 1882. Według urzędowo ogłoszonych sprawozdań w *Warsz. Dniewniku*, dochody zwyczajne, oczekiwane w r. b., wynoszą 886,544,325 rs., podczas gdy w roku zeszłym 900,757,570 rs. Dochody nadzwyczajne przewidywane są w sumie 4,490,366 (wynagrodzenia wojenne 3,337,139 rs., wkłady wieczyste banku państwa 712,000 rs., kapitały specyalne, przeznaczane na ogólne środki rozporządzalne skarbu państwa 441,222 rs.). W r. z. dochody nadzwyczajne, przewidziane budżetem, wynosiły 13,750,139 rs. Na pokrycie braku wpływów dla wydatków z zapasu gotówki skarbu państwa, kasa wzmocniona będzie sumami, otrzymanemi z realizacyi 3% pożyczki złotej 1891 r. w sumie 74,268,375 (w r. 1891 brak wynosił 47,794,812). Wogóle cały oczekiwany dochód wyniesie 965,303,066 rs., w r. zaś 1891 wynosił 962,302,521. Przewidywane rozchody zwyczajne: 1) wypłata pożyczek (procenty i amortyzacya) 247,824,688 rs.; 2) na wyższe instytucye państwowe 2,106,411; 3) na potrzeby św. synodu 11,405,159 rs.; 4) na ministeryum dworu 10,506,000; 5) na ministeryum spraw zagranicznych 4,812,412; 6) na ministeryum wojny 228,907,132; 7) na ministeryum oświaty 21,868,914; 8) na ministeryum marynarki 47,882,233; 9) na minist. finansów 119,008,304; 10) na ministeryum dóbr państwa 24,539,715; 11) na ministeryum spraw wewnętrznych rs. 80,972,998; 12) na ministeryum dróg i komunikacyi 63.653,051; 13) na ministeryum sprawiedliwości 24,574,192; 14) na kontrolę państwa 4,284,162; 15) na główny zarząd państwowy hodowli koni 1,268,695, razem 893,668,066 rs. Na pokrycie rozchodów z powodu przewidywanego wzrostu cen na prowiant i paszę wyznaczono 12,000,000 rs. (r. z. 2,000,000). Na rozchody nieprzewidziane 6 mil. Razem zwyczajnych rozchodów przewidziano 911,668,066 rs. (w r. z. 898,889,021). Wydatki nadzwyczajne ogółem obliczono na 53,635,000 (w r. z. 63,413,500). Rozchody nadzwyczajne składają się z następujących pozycyj: na budowę kolei i portów 33,495,000 rs., na przekształcenie uzbrojeń 20.140,000 rs. Wogóle wszystkich wydatków przewidziano 965,303,066 (r. z. 912,302,521). Z zestawienia sum zeszłorocznych z bieżącemi widzimy, iż ogólna suma podatków powiększy się o 1,107,109 rs., podatki pośrednie zmniejszą się o 74,496,401, regalia państwowe wzrosną o 838.317. Sumy na spłatę pożyczek państwowych zmniejszą się o 8,917,353, rozchody na potrzeby ministeryum wojny wzrosną o rs. 2,254,964, wydatki na ministeryum spraw wewnętrznych o 676,103.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Dobra: Lenin, Dziakowicze i Czuczewicze (w pow. mozyrskim gub. mińskiej), własność księżnej Hohenlohe, nabył kupiec z Odesy za sumę 1,800.000 rs.

— W ciągu dwóch ostatnich miesięcy, od czasu otwarcia przytułków noclegowych w Warszawie, było dochodu 729 rs. (kopiejki opuszczamy), w tej sumie otrzymano 562 rs. z opłat kopiejkowych od 14,073 nędzarzy nocujących. Wydatki uczyniły 993 rs. (główniejsze pozycye: za chleb 404 rs., cukier i herbatę 147, komorne przytułku na Pradze 150 rs.). Przewyżka więc wynosi 264 rs. Przeciętnie na dobę nocowało najmniej 370 osób, najwięcej 469. Oprócz pobieranej czterokopiejkowej opłaty, korzysta z przytułku bezpłatnie 130 osób dorosłych i 71 dzieci.

— Druga loterya na rzecz głodnych będzie ogłoszona zaraz po rozsprzedaniu biletów pierwszej, na tych samych zasadach i na takąż sumę. Tym razem uwzględniona będzie prowincya, która otrzymała bardzo małą liczbę losów loteryi pierwszej,

— Dla zapobieżenia zwiększającemu się w ostatnich czasach włóczęgostwu i ukrywaniu się złodziei w okolicach Warszawy, polecono urzędom gminnym rozciągnąć pilną kontrolę nad zameldowywaniem osób w obrębie danych gmin. Nieposiadający żadnych dowodów będą pociągani do surowej odpowiedzialności sądowej.

— *Prawit. Wiest.* pisze, iż niedawno przybyli do Żytomierza dwaj pełnomocnicy trzydziestu rodzin włościan galicyjskich, życzących przesiedlić się do Rosyi. Wysłańcy dowiadywali się, czy w gub. wołyńskiej niema stosownego obszaru ziemi na sprzedaż lub dzierżawę. Poszukiwania nie były bezowocne. Właściciel majątku Wysokie (18 wiorst od Żytomierza) zgodził się na sprzedanie 300 dzies. ziemi ornej po 120 rs. Pełnomocnicy czynią teraz starania o prawo nabycia gruntów.

— W roku ubiegłym komitet kasy wsparcia podupadłych lekarzy, wdów po nich i sierot biednych w Warszawie, udzielił wsparć 96 osobom w sumie ogólnej 6,680.

— Biuro posłańców warszawskich urządza dla nich kasę pomocy i w tym celu zobowiązało się wnosić miesięcznie 225 rs. do Banku państwa.

— W Cząstkowie pod Warszawą dla gminy miejscowej utworzono kasę wkładowo-zaliczkową.

— We Włocławku powstaje Towarzystwo dobroczynności.

— Miastu Brody w Galicyi, zamieszkanemu przeważnie przez żydów, rząd udzielił 350,000 zlr. tytułem pożyczki na spłatę 35-letnią.

Szkoły. W zbiorze praw zamieszczono następujące rozporządzenie: Na posady nauczycieli rysunków w gimnazyach mogą być przeznaczane osoby, które ukończyły kurs Akademii sztuk pięknych w Petersburgu, w Instytucie inżenierów cywilnych tudzież w kilku innych zakładach specyalnych w Moskwie i Petersburgu. Korzystają oni z wszelkich praw innych nauczycieli i otrzymują pensyę z etatu ministeryum oświaty 300 rs. rocznie.

— Ministeryum oświaty zwróciło uwagę szczególną na stan szkół dla kolonistów niemieckich w kraju południowo-zachodnim, których tam jest 400. „Wobec tego — pisze *Now. Wr.* — iż w niektórych niema wcale podręczników ruskich, a nauczyciele częstokroć nie mogą wcale wykładać języka ruskiego, ministeryum poleciło kuratorowi kijowskiemu rozpatrzyć tę sprawę i wskazać środki przeciwdziałające.

— Rząd badeński dopuścił kobiety do studyów uniwersyteckich na wydziale matematyczno-przyrodniczym.

Nauki. *Grażd.* donosi, iż przyjęto projekt Akademii nauk w Petersburgu, urządzenia stacyj ornitologicznych w różnych miejscowościach państwa.

Sprawy kolejowe. Zarząd kolei żelaznej Kursko-Charkowsko-Azowskiej, z powodu nadzwyczajnego nagromadzenia towarów na stacyach i linii, zwrócił się do kolei Terespolskiej o wypożyczenie piętnastu parowozów, do innych zaś kolei tutejszych — o wydelegowanie pewnej liczby maszynistów i pomocników. Nadto inspektor rządowy tej samej drogi zwrócił się do tutejszych kolei z żądaniem „wypożyczenia“ na czas zwiększonego ruchu zbożowego kilkudziesięciu telegrafistów i aplikantów zdolnych do pełnienia służby.

— Tutejsze zarządy kolejowe poleciły oficyalistom służby mechanicznej zwracać baczną uwagę na osie wagonowe, które podczas silniejszych mrozów łatwiej się zagrzewają.

Zmarli. Alfred Cellier w Londynie, kompozytor.

— Henryk Lepomeray, w Paryżu, krytyk i profesor historyi w konserwatoryum.

— Szuberski, wynalazca pieców hermetycznych, odebrał życie w Paryżu.

— Józef Motzet, w Ambach, malarz rodzajowy.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 10 Января 1892 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. **A. Świętochowski.**